Wydawnictwa polityczne Organizacyi Jedności Narodowej.
Nr. 4.

ANTONI CHOŁONIEWSKI

W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ

TRZY LISTY POLEMICZNE

KRAKÓW 1914
NAKŁADEM ORGANIZACYI JEDNOŚCI NARODOWEJ WE LWOWIE

Wydawnictwa polityczne Organizacyi Jedności Narodowej.
Nr. 4.

ANTONI CHOŁONIEWSKI

W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ

TRZY LISTY POLEMICZNE

KRAKÓW 1914
NAKŁADEM ORGANIZACYI JEDNOŚCI NARODOWEJ WE LWOWIE

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE,
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.

OD AUTORA.

Od jesieni r. 1912, od pamiętnego wyboru posła z miasta Warszawy, trwa w Królestwie Polskiem tak zw. bojkot żydów. Postawienie i przeforsowanie przez żydów warszawskich kandydata, którego sobie nie życzyło społeczeństwo i którego wyprowadzenie na widownię miało wogóle cechy prowokacyi, przelało czarę, oddawna już i obficie wypełnianą przez rozwój wypadków. Fakt, iż stolica Polski mogła znaleść się w politycznej zależności od żydowskiej części swego zaludnienia, dał narodowi całemu cierpki przedsmak tego, co czeka go, jeśli stosunki dalej będą rozwijać się tym samym torem. Pod wpływem tego faktu dokonał się nagły przełom w wyobrażeniach. Poddano rewizyi dotychczasowe metody traktowania sprawy żydowskiej, przyjrzano się pilniej owocom, jakie się zrodziły na glebie, przez te metody użyźnionym, zwrócono uwagę na szereg zjawisk, które przez długie lata wymykały się zpod obserwacyi, lub też oceniane były pod kątem widzenia doktryny, a nie życia. I z tej rewizyi wyniesiono przekonanie, że oryentacya dotychczasowa w sprawie żydowskiej była błędną, że program asymilacyi, który stworzyły wypadki r. 1862, pozostał w gruncie rzeczy martwą teoryą, i ułatwił tylko olbrzymie nagromadzenie się mas żydowskich w kraju, że masy te, jak dobitnie wykazały ostatnie wypadki, są całkowicie dla nas obce, a mogą się stać groźne — i że jedynie skutecznem wyjściem z fatalnej sytuacyi, w iaką nas wpędziły dawne błędy, jest zerwanie

z żydami, wypowiedzenie im naszego stosunku klijenta w życiu gospodarczem i wytworzenie własnej warstwy mieszczańskiej, któraby stopniowo zajmowała ich miejsce. Ten nowy program już wszedł w życie, okazując się nader żywotnym. Równolegle z negatywnem hasłem pomijania żydów rozpoczął się imponujący ruch twórczy: zakładania sklepów, spółek, hurtowni, organizowania całych gałęzi handlu. Spokojnym i pewnym krokiem wkroczyło Królestwo na drogę, wiodącą ku nowym źródłom siły, a zarazem ku zabezpieczeniu się od skutków przewagi żydowskiej. Znaczenie tego ruchu jest historyczne. To świt wytwarzania się tak upragnionego, tak zdawna wyczekiwanego polskiego stanu trzeciego. To koniec zarazem wielkiej złudy, na której od pół wieku opierał się nasz stosunek do żydowskich współmieszkańców. Zniweczona za jednym zamachem w Królestwie, złuda ta utrzymuje się atoli w całej pełni w Galicyi. Południowe województwa polskie, zabrane przez Austryę, wykazują układ ludności i stosunków taki sam, jak za kordonem, i doświadczenia tamtejsze mają dla nas znaczenie pierwszorzędne. Mimo to wielki dziejowy przełom, który się tam dokonywa, zbyt słabo dochodzi do naszej świadomości. Ogromna przewaga prasy milczy o nim. Odwagę podjęcia dyskusyi na ten temat doniosły znalazł krakowski miesięcznik „Krytyka“, odwagę tem cenniejszą, że pismo to jest wyrazem kierunku, który wobec bojkotu żydów zajmuje pozycyę nieprzychylną. Listy niniejsze, które na skutek zachęty Organizacyi Jedności Narodowej wydaję w odbitce broszurowej, ogłoszone były w „Krytyce“, jako część owej dyskusyi. Wydaniu ich w broszurze towarzyszyła myśl utorowania także w zaborze austryackim dróg dla rewizyi dotychczasowych poglądów na sprawę żydowską, towarzyszył nadewszystko zamiar: Przerwać milczenie!

Kraków, 18 lipca 1913 r.

I.

Szanowny Redaktorze!

Długoletni czytelnik Pańskiego pisma, pozwalam sobie prosić o gościnę dla kilku uwag, które nasunęły mi się przy czytaniu artykułu: „Zaostrzenie się sprawy żydowskiej w Królestwie“, zamieszczonego w styczniowym zeszycie „Krytyki“. W sprawie, która jest u nas najżywotniejszą z żywotnych, która już dziś żywo zaprząta, a miejmy nadzieję, że będzie coraz bardziej zaprzątała umysły w kraju naszym, wypowiedziane zostały w „Krytyce“ sądy, z któremi żadną miarą pogodzić się niepodobna. Zaznaczając z góry, że do żydów nie żywię żadnych nieumotywowanych uprzedzeń, że w mojem gorącem uczuciu narodowem nie ma wogóle pierwiastków z góry dla kogokolwiek nieprzyjaznych, pragnę z tymi poglądami zetrzeć się, w przekonaniu, że, acz dobrą wolą podyktowane, są one z gruntu mylne i w wysokim stopniu dla nas szkodliwe. W interesie zarówno polaków, jak żydów, leży szczere i jasne stawianie kwestyi, która w życie obu narodów, tak dawno i tak ciężko przez los doświadczanych, tyle goryczy sączy w ostatnich czasach. Tego jasnego postawienia sprawy nie widzę w „Krytyce“, widzę, przeciwnie, że została ona postawiona w sposób, zdolny jeszcze bardziej zamącić i tak już rozpaczliwie u nas mętny pogląd na zagadnienie polsko-żydowskie.

Istną rewelacyą jest Pański punkt wyjścia!

Ostrze ruchu, zwróconego przeciw żydom w Polsce, rani ich, sądzisz Pan, bez żadnej zgoła winy, to ostrze do-

sięga ich poprostu za „pochodzenie!...“ Nie znającemu stosunków naszych pozwalałoby to zapłonąć słusznem oburzeniem. Żyje wśród nas odłam ludności, która jedynie krwią różni się od tubylców, która lojalnie i nienagannie spełnia swe obowiązki wobec kraju, i ludność ta stała się przedmiotem naganki bez żadnych zresztą uzasadnionych przyczyn? Nie! Tak, Szanowny Panie, bynajmniej nie jest! Jeśliby to nawet prawdą było w wypadkach indywidualnych, jeżeli żyd, związany synowskim węzłem z Polską, istotnie spotyka się niekiedy z uprzedzaniami z powodu swego pochodzenia (co jest rzeczą ubolewania godną, a chciej Pan pamiętać, że zdarzającą się nietylko u nas), to jednak obudzony w narodzie naszym prąd przeciw ogółowi żydowskiemu musi być sprowadzony do zgoła innych źródeł.

Zająwszy w naszej budowie społecznej ważne miejsce trzeciego stanu i miejsce to wypełniając do dziś, mimo setek lat pobytu na naszej ziemi pozostali żydzi żywiołem całkowicie dla nas obcym. Prócz chleba, który razem pożywamy, cóż jest nam właściwie wspólne, jakaż nić moralna nas wiąże? Nie smucą ich nasze żałoby, ani nie cieszą ich nasze radości. Nasze troski, nasze pragnienia, nasze ideały zostawiają ich obojętnymi i zimnymi, jakby wczoraj dopiero przybyli do nas, a jutro mieli ztąd odejść. Zjawisko, zaiste, bezprzykładne! Bywało, że przywiązywali się do nas nieprzyjaciele — nie przywiązali się tylko ci goście, uprzejmie niegdyś przez nas przyjęci. To rzeczy zdawna znane. Ale czasy ostatnie przyniosły szereg zjawisk nowych, które do głębi musiały nami wstrząsnąć. Ludność żydowska w Polsce już nietylko objawia wobec nas chłodną rezerwę, lecz przeciwstawia się naszym interesom w sposób coraz bardziej zdecydowany. Nie zamierzając nas bynajmniej opuścić, zdeklarowała się osobnym narodem i zgłasza pretensye swe do współwłasności naszej ziemi, która odtąd — w myśl jawnych wynurzeń, jakie padły za kordonem — ma stać się ziemią polsko-żydowską. Ludność ta stała się w dwóch zaborach narzędziem w ręku tych, którzy dążą do wytępienia nas, lub uczynienia niezdol-

nymi do samoistnego bytu. Wpędzanie w granice Królestwa Polskiego niezliczonych mas żydów rosyjskich, to system, zapomocą którego Rosya pragnie odebrać krajowi naszemu charakter jednolicie narodowy, aby nas na zawsze ubezwładnić. I nietylko biernem narzędziem są żydzi w ręku naszego wroga. Świadomie, chętnie, możnaby powiedzieć: z zapałem z tym wrogiem się łączą. Spojrzyj Pan na Poznań, gdzie w pierwszym szeregu hakaty kroczą tryumfalnie żydowscy wolontaryusze. Patrz Pan, jak od wieków u nas zasiedziałe masy żydowskie szły ochoczo pod komendę litwaków, głoszących krucyatę przeciw nam. I to jeszcze nie wszystko. Nasi łaskawi goście nie poprzestają na usłużnem podawaniu stryczka, który na gardle polskiem ma się śmiertelnie zacisnąć. Obalono nas na ziemię — wolno nam bezkarnie urągać. Więc czynią to, czynią z lubością, z zapamiętaniem. W naszym stuletnim upadku żydzi są pierwszymi, którzy do walki z nami wnieśli naigrawanie się. To, na co zbyt szlachetnym był jeszcze ostatni żandarm rosyjski, to uczynił w Polsce żyd. Powiedz Pan: czy nie z plugawych ust warszawskiego żyda padły obelżywe wyrazy o Godle naszego narodu? „Biała gęś!“ Pamiętamy ją! Czy to nie żyd z bezgraniczną czelnością w twarz nam rzucił, że „cześć Polski — to zgrana karta szulera“, że kultura polska — to „staw cuchnący“, że „Polska, to trup, który winien być kopnięty?!...“ Zmysłom własnym nie wierząc, w niemem osłupieniu patrzyliśmy długo na to widowisko. I dopiero, gdy miara została ostatecznie przebrana, zrozumieliśmy, że stoi przeciwko nam nieprzyjaciel domowy, tem groźniejszy właśnie, że pod jednym z nami żyjący dachem.

Zechciej Pan, proszę, powtórzyć, że żyd polski ma cierpieć za swe „żydowskie pochodzenie!...“

Zabójczem jest dla nas istnienie tego obcego ciała w naszym organizmie. Jest takiem nie od wczoraj, i tylko tak bezprzykładnie krótkowidząca, tak bezgranicznie podatna dla złudzeń natura, jak polska, musiała być dopiero targnięta z najczulszej, uczuciowej strony, musiała doznać szczególnie

bolesnych uderzeń, aby wstrząsnąć się i zerwać do obrony. Kandydatura litwacka w Warszawie stała się punktem wyjścia dla zaostrzenia się u nas sprawy żydowskiej w postaci, jaką oglądamy. Nie znaczy to przecież, aby bez niej mogła ta sprawa utrzymać się już długo na swym dotychczasowym martwym punkcie. Proces poważnego uświadamiania sobie niebezpieczeństwa żydów dla Polski rozpoczął się w głębszych słojach naszej opinii niezależnie od doświadczeń warszawskich i znacznie od nich wcześniej — i prędzej lub później, musiał zatoczyć szerokie kręgi. Społeczeństwo polskie, choćby bez tych silnych i brutalnych uderzeń, których mu nie oszczędzono, musiało zdać sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, musiało zrozumieć, że dalsza bierność w stosunku do postępów, jakie żydzi czynią na ziemi naszej, równa się powolnemu samobójstwu.

To wszystko zważywszy, nie mogę oprzeć się zdumieniu, że tak uproszczoną formułą mogłeś Pan załatwić się z ruchem obecnym w Królestwie, czyniąc z niego „wszechpolską“, a więc partyjną „intrygę“, nie mogę nie wyrazić zdziwienia, że wsłuchując się w gwar polskiego życia za kordonem, nie słyszysz tam nic — ani poczucia klęsk doznawanych, ani dumy zranionej, ani trwogi o całą przyszłość naszą, nic — prócz mechanicznej „komendy agitatora“. Pan doszukujesz się w tej sprawie „agitatorów wszechpolskich“. Lecz zgoła co innego mówi nam najbardziej powierzchowna obserwacya. Wskazuje ona, że na platformie samoobrony przeciw żydom zeszły się ze sobą w Królestwie różne obozy, że zbliżyli się i zjednoczyli w tem działaniu obronnem katolicy i wolnomyślni, zachowawcy i postępowcy, umiarkowani i zwolennicy celów i metod skrajnych. To niesłychane w Polsce spotkanie się żywiołów różnoimiennych na jednej drodze zadaje kłam opowieściom o wywołaniu bojkotu przez wszechpolaków. Żadna „intryga“ nie mogłaby dokonać tego cudu zjednoczenia. Jakaś potężniejsza i głębsza moc była tu czynna. Istotnie, wielkie, przez wszystkich uznane niebepieczeństwo skupiło w solidarnej trosce cały naród, i poprzez różnice

ugrupowań partyjnych i ideowych nawiązały się na tej płaszczyźnie pojęć wspólne nici, tak mocne, jak pragnienie nasze, aby żyć odrębnem życiem narodowem. Prąd, który przebiega Królestwo, nie jest sprawą partyi. To dziejowa nasza konieczność, która niczyich nie słucha rozkazów, to wielka, doniosła, pełna groźnej powagi sprawa — polskiego bytu.

. . . .

Zanim przejdę do zasadniczych punktów Pańskiego wystąpienia, chcę dotknąć wprzód pewnych rysów drobnych, lecz charakterystycznych dla wynaturzeń naszej psychiki. W chwili, gdyśmy przystąpili do obrachunku tych szkód i krzywd, jakie ojczyźnie naszej wyrządzili żydzi, część publicystyki polskiej uznała za właściwe stanąć w roli adwokata strony przeciwnej i z gestem karcącego nauczyciela pouczyć nas, że nie zasłużyliśmy sobie bynajmniej na przyjazne i lojalne uczucia naszych żydowskich współobywateli. Przytoczony w „Krytyce“ p. St. Staniszewski „nie dziwi się, że żydzi nas nie kochają“. Pyta w „Tygodniku Suwalskim“: Za cóż nas mają kochać? Fakt przyjęcia ich w granice Polski przez Kaźmierza Wielkiego, „który w danym wypadku kierował się więcej względami ekonomicznemi“, należy do „zamierzchłej przeszłości“. P. Staniszewski wspaniałomyślnie uwalnia żydów od długu wdzięczności wobec Polski, od długu, który u ludzi szlachetnych ma walor niezniszczalny.

Odpowiem:

Nie jest „zamierzchłą“ przeszłość, której bardzo realne konsekwencye dziś przeżywamy. Hiszpania nie ma u siebie żydów, których niegdyś miała i jestto w obecnem życiu jej fakt niezawodnie znaczący, a fakt ten należy odnieść do tej samej właśnie przeszłości, która w „Krytyce“ nazywa się „zamierzchłą“, a która sprawiła, że my w tej chwili musimy zużywać znaczną część naszej energii narodowej na rozwiązywanie sprawy żydowskiej. Jeżeliby rzeczy odległe w czasie nie mogły posiadać wartości także dla chwili bieżącej, to czem wytłomaczyć, iż spiżowe znaki pamięci wznosimy wielkim aktorom dni dawnych? Wznosimy je dlatego, ponieważ

olbrzymi ci tworzyli formy bytu, które nie straciły i dla nas jeszcze realnego znaczenia, ponieważ chlebem ich czynów żywimy się do dnia dzisiejszego, a chlebem wspaniałomyślności ostatniego Piasta żyją do dziś żydzi polscy. Pobudkom „ekonomicznym“ przypisujecie Panowie otwarcie bram Polski dla żydów. Dla nas, dla gospodarzy tej ziemi, czyn wielkiego króla naszego okazał się w skutkach zgubnym. Nie mamy powodu mu błogosławić. Niechże jednak szanowny p. Staniszewski nie podsuwa motywów aferzysty wielkodusznemu monarsze. Jeśliby pieniądz miał być sprężyną główną jego gościnnego gestu, to czy pieniądz żydowski nie był równie pożądany za Pirenejami, skąd przecież torturą i gwałtem żydów wygnano?

To o „zamierzchłej“ przeszłości...

Lecz nie należy do niej zapewne rok 1862, w którym ręka polskiego prawodawcy wywiodła żydów z ghetta, uczyniła ich uczestnikami praw ludzkich i politycznych. Zyskali żydzi w owym czasie rzecz stokroć drogocenniejszą: równouprawnienie moralne, którego nie może dać martwa litera ustawy. Nieprzystępny Margrabia, tak szorstki dla szlachty i katolickiego kleru, dla starozakonnych polaków miał i dłoń szczodrą i usta pełne miodu. To samo niósł żydom cały naród: od szlachcica, który sprawiał świeczniki dla bóżnic warszawskich, do mieszczanina, który otwierał gościnnie swój cech dla żydowskiego współobywatela. Rzecz znamienna: w nieubłaganej walce, jaka toczyła się w tych latach pamiętnych między Wielopolskim i całą resztą narodu, jedyny punkt wspólny, jedyny węzeł, jedyna rzecz, o którą nie było sporu, to było równouprawnienie żydów. Ironia naszych dziejów sprawiła, że z wielkiej politycznej budowy, jaką wzniosła dłoń samotnika z Chrobrza, nie pozostało dla nas nic i nawet po uprzątniętych gruzach zginęła już pamięć, a tylko prawa, przez polskiego męża stanu nadane żydom, przetrwały do dziś. I dziś przeciw nam się zwracają. Nie z ghetta mówią do nas dziś żydzi warszawscy. Rzucają nam rękawicę z pod kolumny Zygmunta. Rzucają z pod kościoła św. Krzyża.

Zechciej Pan ocenić, jak zbędny jest tu „agitator“...

Tego nie zniósłby spokojnie żaden naród, ale od nas żąda się rzeczy nawet sprzecznych z naturą. Przytaczasz Pan w swym artykule „głos prawdziwie ludzki“, który mówi: Prawda, że napływowa masa litwaków postawiła się względem nas wrogo prawie od pierwszego dnia swego przybycia, ale czy prasa nasza zwróciła się choć raz do niej życzliwie, czy starała się ją przekonać, że idzie po błędnej drodze?... To znowu nieoceniony p. Staniszewski strofuje swój naród. „Nie czynimy prawie nic dla pociągnięcia żydów ku kulturze polskiej“, wzdychają w imieniu tej kultury pp. Stanisław Patek i Czesław Mejro.

Nie umiem tego, co ci panowie mówią, nazwać inaczej, jak rzeczą potworną. Obcy przybysze, których rosyjski bicz wygnał z dotychczasowych siedzib, ludzie zelżeni i sponiewierani, przychodzą do kraju naszego, w którym szukają gościny, i „od pierwszego prawie dnia“ nas — nienawidzą. O tem pp. Mejro, Patek i Staniszewski wiedzą, wiedzą niewątpliwie także, że nienawiść ta nie kryła się, lecz wyzywająco szła na nasze spotkanie. I kogo tu sadzają na ławie oskarżonych? Oskarżają nas, żeśmy się nie starali o względy tych niezapraszanych a nienawidzących nas gości!... Pan, Redaktorze, mówisz, że rusyfikuje się dusza polska pod wpływem rosyjskiego panowania i dowód na to widzisz „w obecnej kampanii antiżydowskiej“. Gotów jestem zgodzić się z Panem tylko w tem, że straszne ślady ryje na nas to panowanie obce. O tak! Znieprawiły się, spłaszczyły, znikczemniały pewne dusze polskie w niewoli, ale objaw tego widzę nie w „kampanii antiżydowskiej“, lecz przeciwnie w tej bezprzykładnej zatracie godności własnej, która sprawia, że usta nasze mogą poniżyć się aż do oskarżenia siebie o brak uprzejmości dla obcego napastnika. Powinniśmy byli wyprosić u litwaków okruszynę sympatyi. Powinniśmy byli, ocierając twarz z śliny litwackiej, otworzyć przed nimi „życzliwie“ serce i zaprosić ich do stołu naszej kultury!...

Oto był nasz obowiązek...

Ale choćbyśmy to nawet uczynili... O skuteczności naszego otwierania ramion przed żydami przekonała nas już historya, niezbyt odległa nawet, historya rozwoju naszego życia po r. 1862. Wszak ramiona te otwarły się przed nimi szeroko w tym roku pamiętnym, gdy władza spoczęła na krótko w naszych rękach, i nie były zamknięte aż do dni ostatnich, a nie przeszkodziło to żydom polskim stanąć po stronie litwaków, niosących do nas wprost z pod noża rosyjskich pogromów, wprost z Kiszyniewa i Odessy, szumnie rozwiniętą chorągiew rosyjskiego patryotyzmu.

Pan jednak radzisz nam uparcie „miłością“ zdobywać żydów. „Zawsze miłość — nigdy nienawiść“, te ewangieliczne słowa, jako drogowskaz polityczny, czytam ze zdumieniem w piśmie, które tak chętnie głosi, iż gwałt ma się gwałtem odciskać, które wie, iż „dzieło zniszczenia“ miewa także swoje znamię świętości. Jeżeli „zawsze miłość“, to mamyż z ewangieliczną miłością iść także naprzeciw niemieckiego opryszka, gdy zjawia się, aby nas wygnać z ojczystych siedzib? Mamy z seraficznym uśmiechem witać żandarma, który w noc wdziera się do naszego ogniska domowego? Tego nam Pan z pewnością nie zalecasz. Ale skoro o litwaka chodzi — ewangielia błyska w Twojem ręku. Z tym jednym wrogiem usiłujmy rozprawić się po chrześcijańsku! Tego jednego probujmy zniewolić niewyczerpaną miłością!...

Dziwny jakiś jest mi ten Pański wyjątek!

I teraz, ale w związku z całokształtem sprawy żydowskiej w Polsce, pada wyraz uroczysty, który nigdy w uszach moich nie brzmiał tak fałszywie, jak tu: h u m a n i t a r y z m. Dla tych, do których ewangielia nie przemówi, parawan humanitaryzmu ustawiono. Jakże chwieje się on jednak, na nieszczęście Pańskie! Nie trzeba wysiłków szczególnych, aby wykazać, że i ten czcigodny punkt widzenia nie daje podstawy do potępienia tych, co ostrem narzędziem bojkotu pragną kres położyć u nas żydowskiej przewadze. O cóż tu bowiem chodzi? Przy kantorze sklepowym w naszym kraju, który milionom zapewnia byt i tworzy potężną siłę gospo-

darczą, stoi żyd-kupiec, obyty z łokciem i miarką, mający za sobą tresurę i kulturę kupiecką tysięcy lat, uzbrojony od stóp do głowy do walki współzawodniczej. W dziedzinie jego odwiecznego monopolu, przy takiejże ladzie sklepowej, zjawia się kupiec polski, bez tradycyi handlowej, bez rutyny, a więc niezaradny jeszcze, niedość wprawny, niedoświadczony, i z pewnością mniej biegły w znanej kupieckiej etyce. Humanitarny polaku!... Stoi przed tobą człowiek silny — i człowiek słaby, liczący na twą dłoń życzliwą: wybieraj!...

Ale Pan mówisz: Bojkot dotyka przeważnie nędzarzy, nie dotknie zaś naszych Rotszyldów. Niezawodnie, to przykre. Jako człowiek żałuję, że tak jest, jako polak muszę ciągnąć naukę z przeszłości i patrzeć przezornie w przyszłość. Zważ Pan, że nędzarzem także był wczorajszy faktor, czy karczmarz — dzisiejszy mieszkaniec dworu polskiego, a my odważamy się jeszcze pragnąć, żeby w tym dworze mieszkał polak, którego syn i wnuk napewno nie będzie nigdy syonistą, lub żeby tego dworu nie było raczej wcale. Gdy wzruszamy się nędzą żydowską, pamiętajmy również o żydowskiem bogactwie, które słynie z dobroczynnej szczodrości i nędzę tę łagodzi znacznie gorliwiej, niż się to dzieje u nas. Żargonowy dziennik „Hajnt“ chlubił się przecież, że Warszawa jest nietylko „największem miastem żydowskiem w Europie“, ale posiada olbrzymią liczbę żydowskich instytucyj dobroczynnych, które konkurują wprost między sobą i wyrywają sobie każdego biedaka. Filantropia żydów, rozumie się, dla siebie samych, jest znana powszechnie. Niech ona zajmie się „ofiarami“ bojkotu, umożliwiając im odpływanie do krajów, które nie są tak przepełnione, jak nasz. Ale gdyby nawet masy żydowskie były zdane wyłącznie na siebie, to dziką rzeczą wydaje mi się apelować do nas o względy dla tych mas, choćby niebezpieczeństwo polityczne, płynące z obecności ich w Polsce, nie miało cech tak jaskrawych. Spojrzyj Pan bowiem dokoła siebie, i powiedz: Czy nie mamy własnych nędzarzy, którym w kraju ojczystym za cia-

sno, czy nie idą oni w szeroki świat za chlebem, którego w domu dla nich niema, czy nie zaludniają krociami tysięcy kopalń Ameryki, i czy oni są gorsi, czy mają nam być dalsi i obojętniejsi, od nędzarzy żydowskich? Dlaczego żydzi nie mają pójść w świat, tak samo, jak nasi? W imię humanitaryzmu proponujesz mi Pan rzecz niemoralną: mam brata niżej cenić, niż człowieka obcego. My sami jesteśmy narodem ubogim. I tylko my mamy obowiązek o wszystkich troszczyć się, wszystkich żałować, na wszystkich się oglądać, prócz siebie samych? My jedni na świecie, i właśnie my, najmniej zasobni, najbardziej wyczerpani?

Woła panna Stefania Sempołowska, jako wzór polek sławiona w „Krytyce": — Zapytajmy przywódców bojkotu, co zrobić ma ten biedny żyd, któremu wytrącają z ręki ostatni kawałek chleba?... O litościwa, o dobra panno Sempołowska! Zapytuję Panią: — Co zrobić ma ten biedny, a niegdyś tak wspaniały naród polski, któremu żyd wytrąca ostatnie jego pozostałe dobro: poczucie, że żyje na własnej ziemi?!

O szczodrzy, humanitarni, ustępliwi rozdawcy naszego mienia! Do was to słowami, do krwi biczującemi, odzywa się w świeżo wydanem piśmie „Być, albo nie być" czcigodny Stanisław Bełza: „Kochaj Polsko wszystkich szkodników twoich i wrogów, kochaj serdecznie, nie broniąc się przed ich drapieżnością, dbaj gorliwie o to, by „cnota w tobie nie zmarniała", zatrzyj co prędzej ślady swoje nad Sanem, Niemnem i Wartą, oddaj twe stolice i twe miasta żydom, oddaj wszystko bez oporu! Pełna nadziemskich uczuć, wysławszy za morza dzieci swoje z kijem żebraczym, z anielskim spokojem nadstawiaj serce na wymierzane ci codziennie ciosy, a nieskalana myślą nawet wyrządzenia krzywdzicielom twoim najmniejszej szkody, w białej szacie, której ci pozazdrości sama cnota, znajdziesz się może jutro już — w grobie. I z nieprzespanego snu żadne cię trąby jerychońskie już nie przebudzą!"...

. . . .

Jest coś nad wyraz upokarzającego w samym fakcie prowadzenia sporu o rzeczy, które, zdawałoby się, należeć powinny do katechizmu narodowej polityki. Cóż się to bowiem dzieje?

Słysząc bicie na trwogę w pewnym odłamie publicystyki polskiej, możnaby logicznie wnosić, że zagrożony jest polski stan posiadania. Lecz nie. To dzieje się coś innego. Dzieje się rzecz trudna do wiary, rzecz tylko w nieszczęsnym naszym kraju możliwa, rzecz możliwa tylko w narodzie, któremu nadmiar klęsk zaczyna zmysły na wspak odwracać: Polacy krzyczą w niebogłosy, polscy publicyści dzwonią na trwogę, ponieważ — znaleźli się w Polsce ludzie, którzy wyznają zasadę, że w obrocie szczupłem mieniem narodowem trzeba tak postępować, aby ten obrót zasilał własnych przedewszystkiem rodaków!... Zaiste, potworne konkluzye dają się stąd wysnuć. Bo jeśli przeszkadzacie tym, którzy chcą za kantorem kupieckim i w każdym innym warsztacie pracy widzieć polaka, nie żyda, to chcecie, aby żydzi byli silni, a my słabi, pragniecie, aby kurczyła się nasza własność, a żydowska rosła, uważacie za pożądany stan rzeczy, aby zdobywczy pochód żydów na naszej ziemi trwał, aby proces zżydzenia naszych miast dalej postępował. Posłuchajcie, jak straszliwie wygląda ta rzecz w cyfrach na przykładzie jednego tylko miasta polskiego, którem nie jest jakiś tradycyjnie żydowski Berdyczów, lub jakaś obojętna mieścina, lecz główny rezerwoar naszej siły duchowej: Kraków. Prawie połowa warstatów rzemieślniczych, blisko osiemdziesiąt procent handlu — to żydzi. Grosz polski płynie „humanitarnie“ do kieszeni żydów, i groszem tym skrzętnie przez nas zasilani wykupują oni planowo i systematycznie wszelką własność nieruchomą, stając się faktycznymi panami miasta. Od r. 1905, w ciągu lat zaledwie siedmiu, przeszło w posiadanie ich kilkaset domów o łącznej wartości dziewięciu milionów koron! Więcej, niż trzecia część dawnej stolicy Jagiellonów jest własnością żydów, i zabór ten, dokonywany za nasze pieniądze, rozszerza się z każdym rokiem, rośnie jak pożar.

Stan posiadania naszego cofa się stale i szybko, a równolegle z tem cofa się i wpływ polityczny, zależny od siły materyalnej. Żydowski kahał rządzi Krakowem, rządzi nim oligarchia żydowska, której powolnem narzędziem jest reprezentacya urzędowa. Ginie polski Kraków. W obce dla polskiego otoczenia wyspy zamieniają się dziesiątki i setki naszych miast. Nową Jeruzalem staje się Warszawa.

I gdy pierwsze próby przeciwdziałania temu pojawiły się w naszem życiu, spieszysz Pan objaśnić nas, że ci, którzy próby te podjęli, „dają ujście dzikim instynktom“, że głos ich jest „rykiem zdziczałym“, że postępowcy warszawscy i demokraci narodowi „nurzają się w błocie moralnem“!... W tem „błocie“ nurza się, według Pana, olbrzymia część polskiej inteligencyi za kordonem, która ton daje życiu narodowemu, i ogromny zastęp polskich artystów-pisarzy, i, o dziwo! tak wysoko ceniony przez Pana do niedawna Aleksander Swiętochowski, wódz polskiej myśli niezależnej, najprzedniejszy przedstawiciel polskiego postępu, od wczoraj opatrzonego cudzysłowem. Do tego błota — dodajmy — odsyłasz Niemcewicza, który przed stu laty widział niebezpieczeństwo skupienia się u nas milionowych mas żydowskich, i Arystydesa polskiego, zacnego Staszyca.

Usiłujesz Pan podtrzymać najniedorzeczniejsze z kłamstw, że postęp, to filosemityzm. Naiwna Polska wierzyła w to długo. Przez pół wieku wolno było w imię postępu stawiać pod pręgierzem całe warstwy własnego narodu, nie wolno było tylko tknąć zarzutem najsłuszniejszej krytyki żyda, nie wolno było wskazać na ujemną jego rolę, lub choćby na te objawy wrogiego usposobienia wobec nas, z któremi sam się nie krył, bo to był „antisemityzm“, „wstecznictwo“, „chuligaństwo“. Z tem śmiesznem kryteryum postępu rozprawiliśmy się już przecież szczęśliwie. „Gdyby żydzi z natury stanowili pierwiastek, sprzyjający postępowi — zauważyła słusznie pani Iza Moszczeńska — Polska powinnaby dziś przodować narodom europejskim“. Warszawski obóz postępowy otrząsnął się z tego niesłychanego przesądu, w którym

tkwił przez lat czterdzieści, a Pan widzisz w tem nawrót do „dzikich instynktów“, widzisz „tarzanie się w błocie“...

Dlaczego?

Dlaczego „Prawda“ warszawska jest dziś pseudo-postępowa i „nie ma nic wspólnego ze swą nazwą“? Cóż to stało się z Świętochowskim? Czyżby ten sędziwy świetny pisarz dla jakichś niskich celów sprzeniewierzył się swym zasadom? Nie. On tylko ocenił doktrynę niżej, niż życie swego narodu. Patrząc dokoła siebie, spostrzegł z przerażeniem, że jego kraj ojczysty ginie, że powstaje nad Wisłą nowa Palestyna, spostrzegł, że w całej Europie jest jeden jedyny naród, „który znajduje u siebie ludzi, gotowych odstąpić odwieczną siedzibę tego narodu innym, wczorajszym i jutrzejszym przybyszom, a nawet wrogom“, a ten naród jest właśnie nasz, i wobec strasznego tego widowiska uderzył swem silnem słowem na trwogę. W głębokiej trosce o całą naszą przyszłość Aleksander Świętochowski nie przeląkł się taniego zarzutu „niekonsekwencyi“ i rzucił swe szanowne imię na szalę tej jedynej w swoim rodzaju walki, jaka się u nas toczy: o polskość Polski. I dlatego przestał być człowiekiem postępu?! Czyżby postęp wykluczał chronienie pierwiastków życia, w tym wypadku zbiorowego? Sądziłem, że nie, sądziłem, że on wogóle bez chronienia tych pierwiastków jest niemożliwy. Pan sądzisz inaczej. Sądzisz, że aby być istinno-postępowym człowiekiem w Polsce, trzeba się wyzbyć „egoizmu“ do ostatniej koszuli, trzeba „wszystkich umiłować“, prócz siebie, trzeba, jak panna Sempołowska, mieć serce litościwe dla całego świata, *byle nie dla własnego narodu.*

. . . .

Sprawa nasza jest tak dobra, że można walczyć z nią chyba zwietrzałą frazeologią, lub jawnem gwałceniem prawdy. Prasa, broniąca interesów żydowskich, chętnie posługuje się tą drugą bronią. Pracuje ona na zewnątrz całą siłą pary, aby nas zohydzić wobec świata, jako barbarzyńców, którzy prześladują niewinny lud Izraela, a świeżo podjęta kampania

litwactwa, które aż w Paryżu zbiera „protesty“ przeciw niesłychanym rzeczom, dziejącym się w Polsce, ma być kulminacyjnym punktem tej roboty. Cóż innego czynisz Pan u nas w domu, gdy wmawiasz w leniwe i dobroduszne mózgi polskie, że ostrze bojkotu dosięga żydów za ich „pochodzenie“ i że w bojkocie tym przejawiają się „zdziczałe instynkty“? W tem natarciu na nasze stanowisko poszedłeś Pan o duży krok za daleko. Padły w „Krytyce“ wyrazy, które nieoględnej namiętności tylko mogę przypisać, iż ruch obecny przeciw żydom w Królestwie ma „w motywach i środkach“ cechy... czarnosecinne!

Zaiste, mocno i śmiało!

Nie mówmy o motywach, nie mogąc do dusz zaglądać. Mówmy o środkach. Masz Pan odwagę powiedzieć, że środki działania, któremi w tej sprawie posługują się u nas ludzie, przypuśćmy najnamiętniejsi, są pożyczone z arsenału rosyjskiego. Pogromy? Ile widziałeś ich Pan w Polsce? Czy widziałeś mienie rodzin żydowskich rozwłóczone po ulicach naszych miast? Czy widziałeś dłoń polską, wzniesioną morderczo nad bezbronnym człowiekiem? Czy widziałeś trupy, jak na kijowskim Padole?

Tego wszystkiego nie widziałeś Pan w Polsce. Pozwól Pan, że wiadomości Jego o nastroju ruchu bojkotowego uzupełnię paru szczegółami, które publicyście polskiemu, oceniającemu ten ruch, nie powinny być obce. Warszawski dziennik dwugroszowy, który uchodzi za „urzędowy organ“ bojkotu, a czytany jest dziś przez sto tysięcy ludzi i wywiera wpływ ogromny na masy, „podburza“ ludność polską przeciw żydom w następujących wezwaniach i pouczeniach: „Nie siła pięści zdecyduje w walce, którą toczymy obecnie, ale siła rozumu, pracy i głębokiego przekonania, że poparcie swojskiego handlu i przemysłu jest naszym najświętszym obowiązkiem narodowym“. „Działajmy tylko w spokoju, w rozwadze i w skupieniu, nie dajmy się porywać chwilowym odruchom oburzenia i zranionego uczucia, i zapamiętajmy sobie dobrze: tylko rozumną i planową działalnością

zwalczyć i zwyciężyć możemy żydów". „Fakty, choćby najbardziej oburzające, winniśmy przyjmować z męskim spokojem, nie pozwalając się unosić podrażnieniu, ani namiętności; fakty takie niech będą jedynie bodźcem do dalszych czynów twórczych". „Raz jeszcze i po stokroć powtarzamy: Trzeba nam spokoju i wytrwałości, niewolno czynić nic, co dawałoby wrogom naszym pozór do oskarżania nas o chęć ekscesów!" Nie na szczytach polskiej reakcyi przeciw żydom, którą Pan chciałbyś przedstawić jako barbarzyństwo, rozlega się ten głos, lecz u samych nizin, wobec tłumów ulicznych! Może nie jest dalekiem od prawdy przypuszczenie, że w głębi duszy uśmiechałby się żydom samym jakiś jeden i drugi mały pogrom, któryby nasz ruch obronny zohydził przedewszystkiem w oczach własnego narodu. Tego jednak, Szanowny Panie, nie ma! Nasza obrona jest godziwą i ludzką, narzędzia, któremi posługujemy się, są wolne od skazy.

Trzeba oględniej ważyć słowa...

Nadużywasz Pan słów alarmujących w imię cywilizacyi. Cóż my robimy? Czy nawołujemy do gwałtów? Do odbierania żydom praw ludzkich? Nie. Nie chcemy kupować u żydów i sprzedawać żydom, nie chcemy, by byli posiadaczami naszej ziemi i dachu nad naszą głową, nie chcemy dożyć momentu, w którym istotnie krajowi naszemu będzie mógł być zarzucony charakter „częściowo lub całkowicie żydowski", który już dziś — przedwcześnie — proklamują litwacy. To wszystko. Co w tem przeciwnego cywilizacyi?... Przekonaj mnie Pan, że nie powinienem, jako polak, cieszyć się z tego, że „w związku odżydzaniem Królestwa" (jak poświadcza prasa, niepodejrzana o sympatye bojkotowe) powstaje w jakiemś tam mieście polska hurtownia żelaza, a w jakiemś drugiem i dziesiątem polska hurtownia towarów bławatnych, przekonaj mnie, że na tem cierpi kultura, że ona dozna szwanku, gdy ten kraj będzie polskim, nie mięszanym. Przekonaj mnie Pan, że to nie jest korzystne także dla naszej siły duchowej, gdy grosz mój wpływa do kieszeni człowieka, tworzącego wraz ze mną jedną narodową rodzinę. Póki nie

stanie się to, muszę zdumiewać się nad Pańskiem przedziwnem stanowiskiem.

Pan mówisz: Padło jedno w całej kampanii słowo rozumne: potrzeba spolszczenia miast, handlu, przemysłu. Ale jak rozumiesz ten piękny i, zdawałoby się, niedwuznaczny program? Oto „trzeba stworzyć krajowy przemysł i handel“. Krajowy? Skąd ten wstydliwy wyraz, zapożyczony z austryackiej terminologii, wycofywany dziś już szczęśliwie z obiegu? „Galicya — powiadasz Pan — zaczyna wytwarzać przemysł i handel własny, *a udział w nich żydów* jest i niemały i użyteczny“. Oto handel „krajowy“. Niemały jest w nim udział żydów — to prawda. Ale to właśnie stanowi naszą troskę. Jest użyteczny — też prawda. Ale dla nich, nie dla nas. Temu udziałowi i tej użyteczności zawdzięczamy, iż trzecia część Krakowa wyszła z rąk polskich, że stajemy się bezdomną ludnością w obrębie naszych miast. Upraszczasz sobie znakomicie sprawę, redukując ją do cech tylko zewnętrznych, do „żądania wszędzie języka polskiego“. Język! Czyż irlandczycy nie w angielskim języku nienawidzą anglików? W języku polskim rosyjski czynownik wydawał pismo dla polskiego ludu, w języku polskim odzywają się do tegoż samego ludu hakatyści z Cieszyna i hakatyści z Królewca, w języku polskim wszak głoszą apostołowie nacyonalizmu żydowskiego swą dobrą nowinę o Judei nad Wisłą.

Język — to jeszcze nie wszystko. To nawet w pewnych wypadkach — nic.

Za wzmocnieniem „polskiego mieszczaństwa bez różnicy wyznania“ oświadcza się, przytoczona przez Pana z pietyzmem, szanowna „Kultura Polska“ w Radomiu. Nie wiem, jak wygląda „polskie mieszczaństwo bez różnicy wyznania“ w Radomiu, ale wiem, jak wygląda w Krakowie. Znam „polskie mieszczaństwo“ z ulicy Dietlowskiej, z Kaźmierza i Stradomia, to mieszczaństwo, które, niestety, sięga dziś na nasz stary, prześliczny Rynek krakowski, pod Sukiennice i Pannę Maryę, w uświęcone miejsca, gdzie przed Zygmuntem gięło się hołdownicze kolano pruskie, gdzie Kościuszko przysięgał.

Otwieram wymowny kalendarz starego Czecha ze spisem nieruchomości krakowskich i czytam w nich nazwiska posiadaczy. Rodzina Bazes: Pinkus, Lajzor, Efroim, Salomon, Gusta. Rodzina Rubin: Naftali, Markus, Chaja, Małka, Jetty. Rodzina Pufeles: Chaim, Bluma, Cirla, Ryfka, Hinde. Setki, tysiące, całe roje tych nazwisk i imion. Jeżeli ucho „Kultury polskiej" w Radomiu nie wzdrygnie się przed tem polskiem mieszczaństwem, to zaiste dziękujmy Bogu, że nie na Radomiu kończy się polska kultura.

A jednak dziś jeszcze jakże niewinnie brzmią dźwięki owych imion, z któremi trudno się osłuchać. Dziś. Ale jutro? Wiemy, jak wygląda w Poznaniu „polski mieszczanin bez różnicy wyznania". Pamiętamy, że to na wniosek radnych żydowskich znikł z geograficznej karty nasz stary Inowrocław, a pojawiła się w zamian: Hohensalza. Wiemy, przeczuwamy, jakby mieszczanin ten wyglądał, przy czyim boku stanąłby, nazajutrz po zaborze Królestwa przez Prusy.

Gdy wskazuję na Poznań, powiesz Pan: To są niemcy. Nie, to są żydzi, kroczący za rydwanem siły. Muszę zaprotestować stanowczo przeciw temu przekręcaniu faktów oczywistych, przeciw temu zatajaniu prawdy, która, jak zbawienne lekarstwo, może na nas oddziałać. Nazywasz Pan litwaków „rosyanami żydowskimi". „Ani narodowcami, ani nacyonalistami, lecz moskalami są ci litwacy, którzy nie okazują chęci uobywatelenia się" (szanowny statysta z Suwałk zalecał nam kochać tych moskali i czynił nam gorzkie wyrzuty, że nie okazaliśmy dla nich dość serca). „To są moskale", powtarzasz Pan uporczywie. Ale ja ośmielę się zwrócić uwagę Pana, że oni chyba najlepiej wiedzą czem są, a „samookreślają się" jako żydzi. Nie mistyfikujmy się. Nie moskale to są, lecz autentyczni żydzi, najprawowierniejsi żydzi z Wilna i Witebska.

Atakuję ostatnią Pańską pozycyę:

Padł z niej zarzut, że hasło spolszczenia miast wzięło początek nie z potrzeby ewolucyjnej, lecz „z niechęci ku innym". Zarzut dziwny: jakby „niechęć ku innym" nie mo-

gła sama wypłynąć z ewolucyjnej potrzeby. Z tego źródła wypłynęła ona właśnie u nas, wypłynęła nie z zoologicznych instynktów, bo wszak z żydami przeżyliśmy spokojnie setki lat, właśnie wtedy, gdy cała siła była w naszem ręku, lecz zrodziło ją przekonanie, nabyte wśród ciężkich dopustów losu, że dzisiejsi handlujący mieszkańcy naszych miast są żywiołem dla nas narodowo i politycznie groźnym, zrodziła ją prosta obserwacya faktu, że żydzi, nie myśląc o wysiedleniu się z naszego kraju, ogłosili się jednak narodem odrębnym i zajęli wobec nas stanowisko wrogie. Ale Pan wypowiadasz dalej rzeczy, które mnie w osłupienie wprawiają. Nazywasz „wstrętnemi" zapewnienia tych, którzy wypierają się pobudek nienawiści, rzucasz paradoks bezprzykładny, że „im więcej agitatorzy prawią o miłości ku swoim, nie o nienawiści ku obcym, tem więcej szerzy się hypokryzyi w społeczeństwie". Zupełnie, jakby ktoś utrzymywał, że im gorliwiej propagujemy humanitaryzm, tem bardziej szerzymy barbarzyństwo. Ale mniejsza o niedocieczony dla mnie sposób tego stawiania sprawy. Chcę spytać o coś innego. Jakkolwiek nie należę do ludzi, wstydzących się zdolności nienawidzenia i myślę, że dlatego właśnie jestem pełnym człowiekiem, chcę spytać, co daje Panu podstawę do sprowadzenia całego ruchu dzisiejszego w sprawie żydowskiej do źródeł nienawiści, co upoważnia Pana do krzywdzącego twierdzenia, że wielkiej sprawy unarodowienia naszych miast nie podejmują tysiące polaków przedewszystkiem z tej prostej przyczyny, że czują się zdolnymi do życia samoistnego, z tej zupełnie na wierzchu leżącej, a chyba etycznie nienagannej pobudki, że p r a g n ą s o b i e s a m y m w y s t a r c z y ć?

Obejść się w życiu bez żyda? Czy jest w tem choć cień nieprzyjaźni i czy musielibyśmy się w grób położyć, gdyby żydów wcale w naszym kraju nie było?... zapytuje słusznie ks. Józef Dziedzic, autor ciekawej pracy „Żyd na wsi", sumiennie przez prasę w Krakowie i we Lwowie przemilczanej. „Jest nas dwadzieścia cztery miliony ludzi, z głowami, rękami, oczami — czyż sami siebie nie zdołamy obsłu-

żyć?" To wolno wszystkim, tylko właśnie nie nam. My jedni popełniamy zbrodnię „przeciw kulturze", gdy chcemy gospodarzyć pod własnym dachem, gdy chcemy, by nieszczęsna ziemia nasza, za którąśmy tyle krwi wytoczyli, przestała być domem zajezdnym, otwartym dla każdego przechodnia, choćby to był jutrzejszy przywłaszczyciel, by przestała być bezpańskiem polem, które może sobie bezkarnie wziąć każdy przybłęda. I pytam Pana: Czy nastajemy na czyją własność? Czy nie czynimy tylko użytku z elementarnej swobody osobistej, która pozwala nam z tym utrzymywać stosunki, z kim chcemy, z tym zrywać, z kim one są nam niedogodne? Czy nie jest teroryzmem chcieć ograniczyć nas w tem prawie?

. . . .

Od lat stu pod bezprzykładnym naporem wrogich potęg zewnętrznych uszczupla się stale nasze tak świetne niegdyś dziedzictwo. Cofamy się, kurczymy, malejemy z każdem pokoleniem. Siły nasze umniejszają się, a furya natarcia z zewnątrz rośnie. Żaden naród w Europie nie znajduje się w położeniu tak strasznem. Musimy całą rozporządzalną energię uruchomić, musimy ją z największym pośpiechem pomnażać, by się obronić od czyhającej na nas zagłady. Potrzebujemy pieniędzy, dobrobytu, niezależności materyalnej, nie dla użycia, ale dla walki o istnienie. W tragicznie groźnem położeniu, w jakie nas wpędziły dzieje, nie możemy mieć nic i nikogo na względzie — musimy pamiętać tylko o sobie. Nie chcemy umrzeć humanitarnie! Chcemy trwać dłużej! Woła do nas o swoje prawo egoizm tak elementarny, że bez zaspokojenia go nie może być wogóle mowy o życiu. Dla pomnożenia siły są nam niezbędne miasta własne, nie falsyfikowane na polskość, lecz polskie istotnie — musimy je stworzyć, bez względu na czyjekolwiek szkody. To warunek naszego rozwoju, naszej zdolności do spełnienia wielkiego dzieła odbudowy. Do tego celu prowadzi jedna tylko wyraźna, jasno wytyczona droga: gromadzenie, na tych odzyskać się mających placówkach, jak najwięcej siły duchowej i materyalnej, naszej własnej, polskiej bez żadnych

zastrzeżeń i dodatków. Na drodze stoją nam żydzi — więc paść muszą. Oni albo my.

Choćbyśmy nawet mieli powód do sympatyzowania z żydami, to i wtedy jeszcze musielibyśmy iść przeciw nim, dążyć do zajęcia ich miejsca, które do nas należy, stworzyć swój handel na gruzach handlu żydowskiego, bo obowiązkiem naszym jest przecież miłować bardziej własny naród, niż obcy, siebie wzmacniać, nie innych. I nie sądzę, aby było rzeczą tak bardzo karygodną, gdybyśmy chcieli żydów bojkotować choćby z tego tylko powodu, że się „urodzili żydami". Ta grzeszna intencya byłaby bowiem nie czem innem, jak tylko pragnieniem tego, co wszystkie narody świata uważają za rzecz najnaturalniejszą pod słońcem, pragnieniem, aby kraj nasz był wyłącznie naszą własnością, jak Francya jest własnością francuzów, a Hiszpania hiszpanów. Lecz bojkot, o humanitarni obrońcy litwaków! nie urodził się z tej nazbyt już dla nas subtelnej idei!...

Nasz bliźni żydowski nie tylko urodził się żydem, nie tylko chce być na naszej ziemi odrębnym obok nas narodem, on wyrządza nam nadto szkody wszechstronne i dotkliwe. O jego gotowości do połączenia się z wrogiem naszym mówi nam Poznań, mówi nam dziś Królestwo. To polityczna strona sprawy, z pewnością najważniejsza. Ale patrz Pan na cały obszar naszego życia. Przy rozpajaniu ludu naszego, przy lichwie, przy handlu żywym towarem — stoi żyd. Chciej mi Pan wierzyć, Szanowny i Drogi Panie, piszę to ze smutkiem, nie z chęcią urągania. Rozumiem tego głębokie przyczyny. Ten naród, który wszak także posiada swe karty chwalebne, oderwany od ziemi ojczystej i nie mogący jej dotknąć nanowo, jak Anteusz, gnębiony i prześladowany, uległ skrzywieniom moralnym, które w całości, w masie, uczyniły go tem, czem jest. To wszystko tłomaczy mi historya, uczy mnie wyrozumiałości sądu, gdy rzecz rozważam, jako człowiek, lecz nie daje mi żadnej pociechy, jako synowi mojej własnej ojczyzny. Tacy, jacy są dziś, wiodą żydzi na ciele tej mojej ojczyzny żywot pasorzyta, który z niej siły

wysysa. Nie możemy czekać aż się odrodzą, nie możemy być wychowawcami ich, ani godzić się, by to długie wychowanie odbywało się u nas i naszym kosztem, bo nam pilno, bo musimy spieszyć się z rozwojem, a rozwojowi temu oni przeszkadzają. Nawet przelotne zetknięcie się z polską wsią i polskiem miasteczkiem pozwala przekonać się naocznie, jak fatalnie oddziaływa tam żywioł żydowski na bieg naszego życia, jak nieczystemi środkami, nieuczciwą konkurencyą, często przekupstwem tłumi młodą, wydobywającą się z głębi energię czynną naszego ludu, jak deprawuje i rozkłada, ile nadludzkiej nieraz wytrwałości trzeba, aby ten napór wytrzymać. Opowiedział nam o tem świeżo pamiętnik polskiego chłopa, którego spokojne, beznamiętnie pisane karty są strasznem oskarżeniem roli żydów u podstaw naszego bytu. Niech litościwe panny polskie przeczytają te ciężką chłopską ręką skreślone dzieje nadwiślańskiej Gehenny, a potem niech histeryczne łzy ronią nad ofiarami bojkotu!

Powinniśmy przynajmniej nadmiar żydów wyprzeć.

I wyprzeć możemy. Mówicie: „Niemożliwem jest, aby dwa miliony ludzi wyszły nagle z kraju“. Nagle, zapewne. Ale tego nikt zdrowy na umyśle nie oczekuje. Nie pozwólmy hypnotyzować się płytkim i czczym frazesem o „niemożliwościach“ socyologicznych poruszenia tak olbrzymich mas z miejsca. Doświadczenie wszystkich czasów poucza, że ze środowisk, w których warunki bytu są ciężkie, ludzie, zwłaszcza niezwiązani z temi środowiskami dość mocną nicią idealną, idą tam, gdzie lepiej. Logikę tego zjawiska zastosujmy w danym wypadku, a otrzymamy horoskop następujący: Im korzystniejsze warunki bytu będą mieć żydzi w naszej ojczyźnie, tem trwalej się w niej usadowią, a nawet, jak wskazuje przykład Królestwa, będą ściągać do nas od mniej gościnnych sąsiadów. Naodwrót: Im warunki te będą mniej pomyślne, tem bardziej będą u nas topnieć, szukając sobie innych siedzib. Teoryę tę potwierdzało i potwierdza życie. Właśnie korzystne warunki, które ojcowie nasi stwarzali żydom (a które Wy, Panowie, pragniecie konserwować), ścią-

gnęły ich do nas w nadmiernej liczbie, a ta liczba nadmierna sprawiła, że żydzi w Polsce pozostali cudzoziemcami i wśród odpowiednich okoliczności zamienić się mogli w naszych współzawodników i wrogów. Teraźniejszy ruch za kordonem stwarza dla nich konjunkturę niepomyślną i już dziś, mimo tak krótkiego dopiero trwania, zaczyna powodować ich powolny odpływ. Powołuję się tu na świadectwo prasy, przychylnej interesom żydowskim („Nowa Reforma“ 8 stycznia 1913), że „w ostatnich czasach z powodu bojkotu daje się zauważyć znaczna emigracya żydów z Królestwa“. Prawa życia są zatem niezłomne i tylko chciejmy korzystać z nich dla swego dobra.

Jedynie i wyłącznie od nas, od naszej silnej woli, zawisło rozwiązanie tej wielkiej i palącej sprawy w sposób dla nas korzystny. Nikt nie zmusza nas, abyśmy przekraczali próg, za którym znajduje się handlarz obcy i nikt nie zabrania nam przekraczać progu, za którym zastaniemy polaka. Kupujmy tylko u swoich, sprzedawajmy tylko swoim. Zrozumiejmy, że każdy, choćby najmniejszy obrót handlowy, jest aktem, mającym narodowe znaczenie, gdyż zysk, płynący z niego, kogoś wzmacnia: niechaj więc silniejszymi czyni nas, nie ludzi obcych, niech żyć pozwoli nam, nie komuś zgoła nam obojętnemu, lub nawet może wrogo usposobionemu. Pamiętajmy, że wydając grosz każdy, że nabywając najmniejszy drobiazg codziennego użytku, ułamkiem tego grosza, tworzącym zysk handlowy, umożliwiamy utrzymanie się jednej jakiejś rodziny, a w sumie — tysięcy i tysięcy takich rodzin, tworzących przecież naród. Niech te rodziny będą polskie, nie żydowskie, niech się za ten pieniądz nasz chowają, rosną i kształcą polskie, nie żydowskie dzieci, niech rozszerza się teren dla naszych, nie obcych ideałów. Naszem niezrozumieniem narodowego znaczenia obrotów handlowych żywimy w kraju trzy miliony ludzi innego języka, innych, a wrogich nam dążeń. Zerwijmy z tym strasznym indyferentyzmem. Pilnujmy, aby wszelki zarobek dostawał się w ręce naszych własnych rodaków. Prosta, wytrwale przeprowadzona

zasada „do swego“ cuda zdziała. Zasada ta, zastosowana w Poznańskiem, dała już wyniki znakomite, o których za mało, niestety, wiemy w innych dzielnicach Polski. Przed pół wiekiem była ludność żydowska w miastach i miasteczkach Księstwa w przybliżeniu tak samo liczna, jak dziś w Galicyi i w Królestwie. Gdy konsument polski odwrócił się od niej, poczęła topnieć szybko. Dziś z dawnych gmin żydowskich pozostały niedobitki, a w całym kraju tworzą żydzi zaledwie półtora procent ogólnego zaludnienia. W niektórych miejscowościach sprzedane zostały starozakonne domy modlitwy, gdyż zabrakło im wiernych. Widziałem w Poznańskiem małe miasta całkowicie i rdzennie polskie, niesłychane zjawisko, jakiego nie znamy w żadnej innej naszej dzielnicy. Zjawisko to możemy uczynić u nas powszechnem. Przemawia za tem i przykład Wielkopolski i prosta logika przyczyn i skutków. Nie jesteśmy wszak z innej gliny ulepieni, niż nasi bracia poznańscy, a te same przyczyny te same muszą wywołać skutki.

Skoro uświadomimy sobie narodową konieczność stworzenia własnego stanu średniego, gdy pójdziemy tylko za głosem zwykłego obowiązku, gdy zrozumiemy, że każdy grosz przez nas wydany powinien zostać w rękach bezwzględnie i bezspornie polskich, wtedy wielomilionowa masa żydowska straci u nas grunt pod nogami. Typowi pośrednicy, po stracie klienteli, będą musieli żydzi opuścić nasze siedziby. Nie dajmy się mistyfikować opowieściami o utopii „nagłego odpływu milionów“. Odpływ ten będzie się odbywał stopniowo, przez długie lata, ale ubytek każdej fali będzie naszym zyskiem, a gdy żydów w Polsce zostanie wreszcie normalny odsetek, zbyt słaby, aby mógł nie przystosować się do naszych interesów, wówczas proces będzie można uważać za skończony. Nie pragniemy być niegościnnymi — chcemy tylko nie mieć gości więcej, niż nasz szczupły dom może ich pomieścić. Tak urządziły się wszystkie żywotne narody świata i my również chcemy do tego doprowadzić.

Z całym naciskiem muszę naznaczyć, że w dalszej konsekwencyi wyszłoby to na dobre nietylko nam, ale i żydom.

Powołuję się zresztą na pierwszych przywódców narodowego ruchu żydowskiego, ludzi światłych i mądrych, miłujących chyba swój lud i pragnących jego dobra, którzy sami rzucili hasło wysiedlenia żydów z Polski, rozumiejąc, że to nadmierne skupienie ich jest dla nich szkodliwe. Deprawują nas, ale i siebie. Tkwiąc, jak drzazga, w naszem ciele, nie mogą marzyć dla siebie o zdrowiu moralnem. A przecież godzien lepszego losu jest ten naród tak stary i tak zdolny, mogący z dumą wskazać na swe odwieczne legitymacye w kulturze ludzkości i na swych wielkich mężów, pełen cnót, chowanych, co prawda, tylko na swój domowy użytek. Nowe, bardziej normalne warunki życia mogą przywrócić zdrowie temu wielkiemu kalece.

Gdzie znajdzie je? To pytanie nie do nas należy, ale świat jest szeroki i nie zbraknie w nim z pewnością obszarów, do których w sposób celowy i należycie zorganizowany możnaby skierować odpływ żydów polskich.

. . . .

Jak inaczej chcesz Pan sprawę żydowską u nas rozwiązać zgodnie z naszym interesem? Asymilacya narodowa trzech milionów ludzi, gęsto skupionych, o wybitnie zarysowanej indywidualności, izolowanej wałem ochronnym innej religii, jest niemożliwa. To złudzenie zostało i przez nas i przez żydów przekreślone. Wszelki czyn praktyczny w tej dziedzinie musimy oprzeć na pewniku, który wypowiedział Maks Nordau: „Niepodobieństwem jest roztopić naród żydowski w narodach europejskich. Gdybyśmy nawet próbowali zastosować metodę zatracenia się na większą skalę, stanęlibyśmy wobec niewykonalności, nie zasługującej wcale na bliższe roztrząsanie. Raz, że cała masa żydów żadną miarą nie chce wyzbyć się swego żydostwa i wolałaby raczej śmierć ponieść, niż wyrzec się swej wiary, swoich tradycyj i swojej narodowości, powtóre — gdyby nawet żydzi zgodzili się ze stoicyzmem na popełnienie samobójstwa, nie przydałby się ten akt ostatecznej rozpaczy na nic, okazałoby się bowiem, że są nierozpuszczalni w żywiole aryjskim“. Temu pewnikowi

daje powagę fakt historyczny, że przez trzy tysiące lat nikt nie zdołał niczem narodowości żydowskiej unicestwić.

Lecz oto nowe hasło dnia: „asymilacya polityczna“. Mówisz Pan: Może żyd posiadać tradycye, poczucie własnej indywidualności — „z tem wszystkiem może być użytecznym obywatelem Polski“. I dawniej już czytałem w „Krytyce“: „Nie można pragnącemu zachować swą indywidualność żydowi narzucać narodowości polskiej, można jednak żądać odeń kategorycznie poczucia obywatelskiego, zmysłu dla obowiązku wobec kraju“. Wydaje mi się kruchą już sama logiczna konstrukcya tego programu. Zdawałoby się, że tego poczucia, o którem tu mowa, nie można „żądać“, że nie można go ani wyprosić, ani nakazać, że musi ono samo wytryskać, jak strumień ze źródła. Pan sądzisz jednak, że „taka asymilacya przy odpowiedniej polityce i kulturze ludności polskiej ma przed sobą niezaprzeczoną przyszłość“. To samo głosi p. Ludomir Grendyszyński, mówiąc o „ucywilizowaniu żydów w duchu potrzeb naszego kraju“. Mogą zostać narodem odrębnym, niech tylko będą lojalnym składnikiem naszej budowy narodowo-politycznej. Odpowiadam na to: Żądacie Panowie od nas ofiary o włos za wielkiej. Mamy zgodzić się świadomie i dobrowolnie, mamy sankcyą swą zatwierdzić na zawsze, iż kraj nasz jest krajem dwunarodowym? Mamy uznać istnienie na całym obszarze naszej ojczyzny drugiego równoprawnego języka ze wszystkiemi tego faktu konsekwencyami? Mamy nigdzie i nigdy już nie być sami, wyłącznie u siebie? Nie znam rezygnacyi straszniejszej. Ale przypuśćmy, żebyśmy się z tem pogodzili. Przypuśćmy, że zgadzamy się, aby żydzi ze swą przedziwnie przez Pana obmyśloną duszą dwoistą zamieszkiwali Polskę, jako drugi naród i jako lojalny nasz wspólnik. Gdzie jednak gwarancya trwałej lojalności?... Jednostki? Dobrze. Ale milionowy ogół?

Tylko polak od żądania tej gwarancyi może być wolny. My wyrośliśmy z tej ziemi. Nie pamiętamy, abyśmy byli gdzieindziej. Nie możemy stąd wyjść. Cała istota nasza tu tkwi

głęboko, organicznie zrośnięta z gruntem na śmierć i życie. Lecz żydzi — z „własną tradycyą“, z „własną indywidualnością“? Czy napewno dochowaliby nam zawsze wiary?

Doświadczenie uprawnia mnie do obaw i wątpliwości. Nie byliśmy dla nich złymi przez setki lat. Przyjęliśmy ich pod nasz dach wtedy, gdy palono ich gdzieindziej na stosach. Nie skąpiliśmy praw. Łaskawymi i szczodrymi byli dla nich nasi królowie. Wyraziciel naszego ducha narodowego, największy wieszcz, widział w Izraelu brata Polski. Podzieliliśmy się chlebem, którego oddawna nie mamy do zbytku. Winni nam żydzi wdzięczność — mamy pełne prawo jej żądać. A jak nam odpłacili?

Ile razy w dziejach powijała się nam noga, dziwnie rychło i dziwnie ochoczo znajdowali się w szeregach naszych nieprzyjaciół. Nie nowem jest, Szanowny Panie! widowisko litwaka, szarpiącego ciało naszej ojczyzny! Tak dawne jest to widowisko, jak stosunki nasze z tym ludem moralnie okaleczałym. Z czasów najodleglejszych już notuje historyk Henryk Schmitt, że „głuche zalatują wieści o bardzo podejrzanem zachowywaniu się żydostwa podczas ponawianych kilkakrotnie srogich napadów tatarskich“. Zważ Pan, jak uderzającem jest tu podobieństwo do chwili dzisiejszej! Ci przedwieczni litwacy tak samo wszak, jak teraźniejsi, przybyli do nas prosto z pod noża obcych pogromów i pod dachem naszym znaleźli bezpieczne schronienie. Przez wieki naszego państwowego bytu trwało następnie to „podejrzane zachowanie się“, z tą różnicą, że litwacy (których Pan chcesz ulojalnić) stali się już oddawna osiadłymi i z szerokich swobód korzystającymi obywatelami. Moskwa, Turcy, Szwedzi korzystają z usług żydów, którzy spieszą zaskarbić sobie względy domniemanego nowego pana, ilekroć się gmach Rzeczypospolitej chwieje, ilekroć Polska zdaje się tonąć bez ratunku. Dzieje się to na wielką skalę podczas szwedzkiego najazdu. Czarniecki zmuszony jest karać żydów masowo za zdradzieckie stosunki z nieprzyjacielem. Jan Kaźmierz — poświadcza historyk Mojżesz Schorr — zabrania opuszczać żydom swych

siedzib, „żeby do nieprzyjaciela wiadomości nie były donoszone“. To samo powtarza się w czasie upadku. Ks. Mikołaj Repnin, dowodzący armią rosyjską na Litwie, stwierdza: „Wszyscy żydzi tutejsi wcale nie żywili współczucia dla byłego w Polsce buntu, przeciwnie, w gorliwości swojej świadczyli nam usługi“. Na brak tych usług i tego nastroju sympatycznego nie mogli narzekać i prusacy. Współczesny nam żyd poznański, Moritz Jaffe, autor dzieła „Die Stadt Posen unter preussischer Herrschaft“, z uczuciem chluby opowiada, że skoro tylko państwo polskie padło, natychmiast żydzi tamtejsi „uświadomili się narodowo i podzielili uczucia z tymi, którzy wspólnym z nimi mówili językiem“, t. j. z niemcami.

Dawne dzieje! Należałoby je w znacznie obszerniejszej i dokładniejszej formie przypomnieć dziś, gdy nasza myśl polityczna znajduje się na rozdrożu między ostatniemi jeszcze złudzeniami asymilacyjnemi, a trzeźwym programem wyparcia szkodnika raz na zawsze z dziedziny naszego życia.

Nie chcę przedłużać zbytnio tej wycieczki w przeszłość. Niech wolno mi będzie wskazać jeszcze tylko na wysoce pouczające zachowanie się żydów w czasie powstania poznańskiego w r. 1848, gdyż w tych wypadkach pamiętnych przejawiły się w doskonałej postaci rysy, które musimy mieć na uwadze, rozważając ideę neo-asymilacyi, asymilacyi politycznej. Przed r. 48 żydzi poznańscy pozostawali w patryarchalnej komitywie z polskim dworem i polskim chłopem. Handlowali z nimi i żyli z nich. Gdy powstanie wybuchło, zajęli stanowisko bacznej obserwacyi i przezornego wyczekiwania, nie skłaniając się ani na jedną, ani na drugą stronę. Romantyzm polski wyciągnął ku nim dłoń na ratuszu poznańskim, zapewniając „braciom izraelitom korzystanie z pełnych praw obywatelskich“. Ze wzruszeniem, acz niezbyt manifestacyjnie, żydzi tę dłoń przyjęli. Lecz sielanka trwała niedługo. Powstanie padło po kilku dniach — i teraz, Szanowni Panowie, rozpoczęło się widowisko, godne bogów. Żydzi poznańscy stanęli murem przy zwycięzcach. Uczuli się prusakami do szpiku kości. W radosnem upojeniu iluminowali

swe domy. Palili na ulicach polskie godła i znaki. Gdy jeńców polskich wprowadzono do Poznania, żydowstwo rzuciło się na nich z zapałem, policzkowało, plwało, darło na nich odzienie w strzępy. Wyrostki żydowskie krytykowały głośno łagodność rządu względem polaków. Na tym samym ratuszu poznańskim, na którym niedawno Izrael święcił z nami braterstwo, wołał żydowski radny miejski: „Nie wolno nam spocząć, póki nie wygnamy ostatniego polaka z miasta“. Opowiadają o tem historycy tego roku: Moraczewski, Motty, Rakowski. Nie wierzycie tym polskim źródłom? Więc oto mówi niemiec, pruski pułkownik von Brandt: „Trzeba było być świadkiem wszystkich tych scen, jakie rozgrywały się wówczas w Poznańskiem, aby módz dobrze osądzić głęboką moralną nikczemność żydów. Twierdzę stanowczo, że bez udziału żydów wypadki byłyby tam rozstrzygnęły się w sposób wolny od okrucieństwa i nienawiści, o które oskarżają nas polacy“. Oto streszczona lekcya tej nauczycielki życia, której — w stosunku naszym do żydów — tak niepojętnymi, tak dziwnie tępymi byliśmy dotąd uczniami!...

Dość. Niech umarli śpią w spokoju!

A dziś, Drogi Panie?

Leżymy ubezwładnieni politycznie — i patrzymy na stereotypowe widowisko, niezawodne, jak powracająca fala: Nasi odwieczni goście, dla których byliśmy szczodrym amfitryonem, ławą idą przeciw nam. „Germania nie ma wierniejszych synów, niż my!“ woła w berlińskiej „Zukunft“ dr. Kassel, żyd z polskiej gleby wyrosły. Patrz Pan na warstaty opinii w Berlinie i Wiedniu. Słuchaj, jak skrzypią polakożercze pióra, judzące przeciw nam z zaciekłem zapamiętaniem. To publicyści rodem z Poznania, czy Kołomyi, z którymi siedzieliśmy nieraz wspólnie na ławie szkolnej. Dlaczego szarpią nas i gryzą? Za co się mszczą? Czemu za chleb tylu wieków, za przytułek, za gościnę, płacą nam kamieniem? Nie wiem. A raczej wiem: Ponieważ l e ż y m y p o d k o ł e m f o r t u n y... I patrz Pan, jak nawet nasi najbardziej polscy żydzi zawijają pod koniec szczęśliwie do portu, nad którym flaga

przeciwpolska powiewa. Oto jest p. Stanisław Mendelson, były żyd-polak, który należał do tych, co pierwsi po r. 1863 wznawiali program Polski niepodległej — dziś chorąży wojującego nacyonalizmu żydowskiego i zdobywca Warszawy. Jakiż wymowny horoskop dla planów, opartych na spodziewanej lojalności mas żydowskich! „Przeciw powalonemu!“ — oto hasło. Jak długa i szeroka Wielkopolska, od Katowic po resztki naszego morza, żydzi „ucywilizowani“, znający wszak dzieje, wiedzący, jakimi byliśmy dla nich, idą przeciwko nam. Z Niemcami idą przeciw nam. Z Rosyą, która policzkuje ich godność ludzką, która ściga ich pogromem i pogardą, która kobietom żydowskim, pragnącym dostać się do źródła wiedzy, każe symulować prostytucyę, idą przeciw nam. W mniemaniu, że z nami, jako politycznym bankrutem można sobie na wszystko pozwolić, wołają w Królestwie: To kraj żydowsko-polski! Trzeba było tylko zjawienia się litwaków, aby na prawne zdobycie tego kraju poszły milionowe tłumy naszych żydów, które go faktycznie zdobywały od wieków. Jeśli między Prosną a Bugiem, na gruncie naszej bezsiły politycznej, mogło paść hasło „kraju polsko-żydowskiego“, to takie same hasło może paść w Krakowie i Lwowie każdej chwili, skoro się nam tylko tu noga powinie. Nie pada dziś, gdyż coś w tej dzielnicy znaczymy i stoimy z bronią władzy w ręku. A o czemże się to mówi w Galicyi? Czy nie o tem, że żydzi mogą nas opuścić i przejść do rusinów, do których się takie samo słońce władzy uśmiecha? Czy ta obawa nie wisi ciągle w powietrzu i czy cały polityczny stosunek nasz ze społeczeństwem żydowskiem w Galicyi nie jest w najwyższym stopniu niemoralny i sztuczny?

Cały obszar życia, dziś i wczoraj, zadaje kłam Pańskiej marzycielskiej teoryi „asymilacyi politycznej“. Poprzez tysiące lat szydzi z Pana stara księga Exodus, która woła: „Strzeżże się, abyś snać nie stanowił przymierza z mieszkańcami ziemi onej, do której wnijdziesz!“ I on, ten nieśmiertelny Obcy Człowiek na ziemiach Europy, strzeże tego przykazania. Od Bolesława kaliskiego aż do dziejów ostatniego warszaw-

skiego mandatu, od podejrzanej postawy wobec pierwszych napadów tatarskich aż do policzkowanych powstańców w Poznaniu, jest ten sam: zamknięty w sobie, swoje tylko ścigający cele, gotów zwrócić się przeciw nam każdej chwili. „Wszędzie żydzi są cudzoziemcami, nigdzie tuziemcami — zauważa słusznie Iza Moszczeńska — nawet tam, gdzie żyjąc przez szereg wieków, zaaklimatyzują się i przystosują powierzchownie do otoczenia, przyjmując jego język. W braku spójni narodowej istnieje spójnia rasowa, religijna, która sprawia, że polski, rosyjski, niemiecki, francuski żyd są zawsze między sobą bliżsi, niż każdy z nich dla członków tego narodu, wśród którego zrodził się i wychował. Jeśli niemiec staje się polakiem, przestaje być niemcem i naodwrót. Natomiast nigdy się nie wie, czy żyd, który został niemcem lub polakiem, przestał być żydem i w jakim stopniu". Tę prawdę zaczynamy dziś dopiero poznawać. Nad grobem stojący Zygmunt Miłkowski, w którym czcisz Pan przecież nieskazitelnego rycerza wolności, obcego wszelkim uprzedzeniom, rzuca na papier znamienne dla tego starca wyrazy: „Ojczyzna żydowska jest kosmopolityczna... Nie czują się żydzi zgoła obowiązani nietylko do służenia tym bliższym ojczyznom, tak lub inaczej zwanym, ale nawet do zwykłego ich uwzględniania!"

Nie dziwię się żydom. Mają oni „własne tradycye", „własną indywidualność" i są źle wychowani przez historyę. Dziwię się polakom, którzy w spółce politycznej z nimi szukają rozwiązania sprawy. Doświadczenie przestrzega nas, że w tej spółce nie bylibyśmy nigdy pewni, co zrobi nasz kontrahent, gdy się nam, jak dziś, cugle wymkną z ręki. Nie mogę uznać tej kombinacyi. Niewolę znosimy w przekonaniu, że się ona kiedyś skończy, a Pan żądasz, aby naród o zdrowych zmysłach pogodził się z tem, że na wieki ma być zrośnięty z nim organizm obcy, o drugiej, własnej duszy, w najlepszym nawet razie politycznie niewyraźny, a więc zawsze niepewny i zawsze groźny?!

. . . .

Jednakże Pańskie polskie sumienie nie daje Panu spokoju. Powiadasz Pan: Stan obecny sprawy żydowskiej u nas jest jednym dowodem więcej, że trzeba kres położyć panowaniu rosyjskiemu w Polsce. Wojna zwycięzka z Rosyą jest także pod tym względem suprema lex: zwyciężona Rosya bowiem będzie musiała przeprowadzić u siebie reformy, a reformy te wyżłobią koryto dla odpływu od nas fali żydowskiej, obalając „granice osiadłości". Czy słuch mnie nie myli? Więc jednak ostatecznie mamy żydów za wiele, więc jednak trzeba się ich pozbyć, więc jednak w tem tkwi rozwiązanie sprawy. Znaczyłoby to, że się godzimy? Nie. Albowiem Pan, jak z całego stanowiska Pańskiego wypływa, w przewidywaniu tej zwycięzkiej wojny pragnąłbyś, aby w walce o rzeczywiste spolszczenie naszych miast ogłoszona być mogła do tego czasu Treuga Dei, abyśmy naszą pokojową broń włożyli do pochew i rozwiązanie tej wielkiej sprawy uczynili zawisłem od zawodnych losów oręża wojennego. I tej także recepty uznać nie mogę. Nie mogę jej uznać dlatego, że przepisuje lekarstwo niepewne, gdy niezawodne mamy już w ręku. I dlatego, że to pewne lekarstwo jest identyczne z pojęciem narodowego obowiązku wzmacniania siebie ekonomicznie, a nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy właśnie ten obowiązek zaniedbać, skoro mimo oczekiwania wojny wszystkie inne spełniamy lub spełniać powinniśmy. I jeszcze także dlatego, że ćwiczenie się w tym obowiązku jest dla nas, niezależnie od namacalnych korzyści, ważną sprawą wychowania narodowego, sprawą obudzenia w naturze polskiej poczucia, że trzeba wszędzie i zawsze popierać własnych rodaków. I wreszcie dlatego, że wojna może przyjść i może nie przyjść, może skończyć się dla Rosyi równie dobrze przegraną, jak zwycięstwem, w którem utoną wszelkie reformy, a nasze biedne życie tymczasem płynie i wolno obawiać się, że zanimby nad niem słońce orężnych zwycięstw zabłysło, przysłowiowa rosa wygryzłaby nam oczy. Czekać zbawienia z zewnątrz, to pogłębiać przepaść, która nas chłonie!

Tak więc — nie ma między nami zgody. Nie można polsko-żydowskiego węzła rozplątać. On musi być przecięty.

. . . .

Lecz tego listu, w którym tyle zgrzytliwych tonów musiało się odezwać, nie chciałbym zakończyć bez bardzo mocnego podkreślenia, że to wszystko nie odnosi się do żydów spolszczonych, powiedzmy lepiej: do polaków żydowskiego pochodzenia. Naród żydowski musimy stopniowo wypierać z naszego kraju. Ale ci, którzy z narodu tego wyszli i czują się polakami, jak my?

Stanowisko moje, a mam podstawę twierdzić, że i stanowisko bardzo licznego zastępu ludzi, zastanawiających się nad sprawą żydowską w Polsce, opiewa: Także żyd, nie czujący się polakiem, lecz nie przeciwstawiający się nam wrogo, winien być w j e d y n y c h stosunkach, jakie tu są dopuszczalne, w stosunkach towarzyskich. oceniany przez nas według swej osobistej, ludzkiej wartości i zachowywać winniśmy się wobec niego, jak wobec każdego cudzoziemca, zasługującego na nasz szacunek. Nie chcemy ani lekceważyć, ani unikać żydów, jako ludzi — i dopiero, gdy notorycznie działają na naszą szkodę, musimy ich jak wrogów traktować. Jeżeli tak stawiam sprawę, to już poniekąd określam stosunek do żydów spolszczonych. To są polacy, jak my, i czynienie jakichkolwiek różnic między nimi i nami byłoby niedorzecznością. Lecz to są ci, którzy na swej drodze rozstajnej wybrali rzeczywiście, stanowczo i bez zastrzeżeń przynależność do naszego narodu. Hermafrodytów nie rozumiem. Człowiek z dwoistą duszą narodową jest anomalią. Straszą nas, że pewna część żydów, przyznających się do polskości, może pod wpływem obecnego ruchu w Warszawie pójść — w objęcia Rosyi. Sądzę, że i temu przykremu doświadczeniu moglibyśmy nie bez pożytku zajrzeć w oczy. „Polak za wypowiedzeniem 24-godzinnem“, to farsa. Spełnienie się groźby, której i Pan dałeś wyraz, uwolniłoby nas od złudzeń, zawsze szkodliwych, wykazując, że polskość tych ludzi była tylko okolicznościową, a strata zostałaby znakomicie wyrównana

przez tem dobitniejsze wyklarowanie się naszej mętnej oryentacyi, która głównie ułatwia żydom zdobywczy pochód na naszej ziemi.

Mówię jednak nie o tych warunkowych, nie o tych kruchych, pozornych polakach, lecz o takich, którzy — nie stłuką się przy żadnej okazyi. Jeżeli żyd rzeczywiście duchowo się spolszczył, jeżeli stopił się ze społeczeństwem polskiem w nierozdzielną jedność, jeżeli miłuje naszą wspólną sprawę i przy sztandarze naszym stoi tak silnie, jak my — to miejsce jego jest w naszem wielkiem narodowem kole rodzinnem. Te jednostki powinniśmy jak najbardziej przyciągnąć i najżyczliwszem sercem darzyć. Wiemy, że tacy żydzi spolszczeni są. Wiemy o Dicksteinach, Natansonach, Rotwandach, Krausharach, Kramsztykach, Nusbaumach i Askenazych, znamy ich zasługi. To nasi nowocześni karmazyni. I nie rozumiem zgoła, dlaczego teraźniejszy zwrot w sprawie żydowskiej miałby wywoływać w nich jakąkolwiek rozterkę. Jeżeli polak Mierosławski mógł bez żadnych skrupułów głosić krucyatę przeciw szlachcie polskiej, z której sam wyszedł, nie wiem, dlaczego polak pochodzenia żydowskiego nie mógłby zwalczać żydów, którzy zagrażają szczęściu jego ojczyzny. Historya nasza zna analogię jeszcze ściślejszą. Przez lat sto ciążyła na Galicyi pięść niemiecka. Kraj zalany był najezdniczą armią biurokracyi, która przychodziła, by gnębić nas i niszczyć. Synowie tych naszych wrogów — wśród nas urodzeni — ulegali wpływowi otoczenia, nasze przejmowali ideały. Polszczyli się. I chociaż wspomnienie ojczyzny pierwotnej było dla nich tak świeżem jeszcze, chociaż swych byłych rodaków na każdym spotykali kroku, z nami przecież trzymali i w naszych przeciw nim walczyli szeregach. Ich świeża polskość nie nastręczała im żadnych rozterek. Mieli jedną tylko, całkowitą, niepodzielną, bezkompromisową duszę: polską. A zważ Pan, że byli to ludzie z najszlachetniejszego kruszcu: w ich gronie był śpiewak „Pieśni Janusza", byli ci, którym Polska torowała drogę zaszczytną na szafot i w lochy Kufszteinu i którzy, wiedząc o tem, że ojczyzna nasza da im jedynie

laur męczeński, na drogę tę umieli wstępować z radością i z dumą bohaterów.

Także żydów spolszczonych mieliśmy w przeszłości i czcimy ich pamięć. Znamy ich dziś, i kochamy, jak braci.

Ale *błędem i niedorzecznością byłoby, wytyczając sobie drogi postępowania w sprawie żydowskiej, naginać całą naszą politykę do wartości tych nielicznych jednostek,* jak nie śniło się nikomu godzić się z niemieckim najazdem dlatego, iż niemcy dali nam Libelta, Kremera, Lelewela, Grottgera i Pola. Te drogi postępowania musimy wykreślać pod kątem zachowania się m a s, a nie znikomo drobnej garści.

Sprawa żydowska rozmiarami i znaczeniem wybiega daleko poza kwestyę żydów spolszczonych. I jeżeli dziką rzeczą jest zbijanie w czambuł wszystkich żydów bez żadnych rozgraniczeń, to niemniej dzikiem byłoby żądanie, abyśmy, jak w biblii, dla pięciu sprawiedliwych chcieli chronić Sodomę polskiego upadku. W sferze życia gospodarczego nie możemy wyjść poza oderwane wypadki bezpośredniej, dokładnej, osobistej, indywidualnej znajomości żyda-polaka, wypadki tak skąpe, że niemal teoretyczne, a jedyne, w których zasada nasza mogłaby doznać wyłomu. Wyjątki te nie mogą mieć żadnego wpływu na zasadnicze nasze stanowisko. My musimy mieć ciągle przed oczyma owe miliony pasożytniczej ludności żydowskiej, obcej nam kulturą, wiarą, językiem, obyczajem, i skoro obrona nasza ma mieć sens jakikolwiek, musimy w stosunkach gospodarczych zaliczyć do tej obcej masy każdego żyda, którego nie znamy dostatecznie, by móc uznać go za polaka. Innego wyjścia z tego splotu tragicznego nie ma. Jeżeli zaś mimowoli popełnimy przez to kiedy niesprawiedliwość, to będzie ona z pewnością stokroć mniejsza od tej, jaką świadomie popełnilibyśmy wobec własnej ojczyzny, stosując dłużej zasadę indyferentyzmu w obrocie naszem szczupłem narodowem mieniem. Nie żądaj Pan więc odemnie, abym po za tymi, których z n a m b e z p o ś r e d n i o, lub z publicznego działania, czynił różnicę w pozostałej masie żydowskiej. Muszę ją ryczałtem uznać za obcą.

Nie żądaj Pan, abym za członka mego społeczeństwa — które, wydając każdy grosz, winienem mieć przedewszystkiem na oku — uznawał z góry każdego żydowskiego sklepikarza, dlatego tylko, że mówi po polsku. Język, to nie wszystko jeszcze i ostatecznie nie jestto czemś tak niesłychanem, gdy żyjąc w jakimś kraju od dość dawna, mówi się jego językiem, a któż może mi zaręczyć, czy w izbie sąsiedniej, tuż za ścianą sklepową, nie snują się w młodem pokoleniu romantyczne plany założenia nowej Judei nad Wisłą i czy mój polski grosz nie zasili realnie tych marzeń? Od tej obawy jestem wolny bezwzględnie tylko w jednym wypadku: gdy staję wobec takiego samego polaka, jak ja, wobec polaka — daruj Pan — chrześcijanina.

Ci nieliczni żydzi, którzy istotnie wcieleni zostali w nasz organizm narodowy, skoro pragną, aby ojczyzna nasza stała się silna i zdrowa, aby jej polski charakter na zawsze został ubezpieczony, powinni zrozumieć i uznać tę naszą konieczność przeciwstawienia się masie żydowskiej, a miło mi powiedzieć, że w ich gronie znam obywateli o imionach głośnych i zasłużonych, ludzi, otoczonych powszechną czcią, którzy tę konieczność praktycznie uznali.

. . . .

List mój wywołały, Redaktorze, przytoczone przez Pana głosy polskich przeciwników bojkotu. Dla Pana: niestety, a dla mnie: na szczęście, są to głosy znikomej mniejszości. Fala ruchu za wyparciem żydów z Polski szeroko się rozlała i przybiera wciąż na sile. Przeważna część prasy za kordonem, ale co ważniejze, naród w najruchliwszych i najzdrowszych swych jednostkach, z nią płynie. Nietylko w Królestwie, choć tam najgłośniej i najbujniej, ruch ten się krzewi. Wiem z doświadczenia, że kiełkuje on, bez żadnej zgoła agitacyi, i w naszej dzielnicy. Rzeczywiście jestto „żywioł“, jak Pan z lekką ironią zaznacza. Dokoła nas, w coraz to nowych ogniskach rodzin polskich, w coraz to nowych warstatach pracy, to poczucie obowiązku utrwalenia naszej siły narodowej w miastach i wydarcia tych miast z rąk obcych docho-

dzi do stanu świadomości, dojrzewa i krystalizuje się w czynie. To nam, zwolennikom tej sprawy, daje gwarancyę zwycięstwa i wskazuje, że likwidacya kwestyi żydowskiej w Polsce rozpoczęła się. Ci, którzy z powodu bojkotu drą szaty na sobie, jak panna Sempołowska, którzy kobietom polskim zarzucają „bezmyślną“ nagankę, jak pani Teresa Lubińska, którzy nam prawią tanie kazania o humanitaryzmie, jak p. Staniszewski z Suwałk, którzy częstują nas „polskiem mieszczaństwem bez różnicy wyznania“, jak „Kultura Polska“ — na szczęście w Radomiu, którzy w naszej chęci życia widzą „zaślepienie szowinistyczne“, jak p. Stanisław Patek, którzy, jak p. Zygmunt Kisielewski, rodaków swych, pragnących, abyśmy sami sobie wystarczyli, usiłują dosięgnąć „pogardą i szyderstwem“, ci stanowią sporadyczne okazy. Pan powiesz: Niestety! Ja mówię: Dzięki Bogu!

Ale nie mogąc zejść się z Panem, mam nadzieję zbliżyć się do Niego, wyrażając jaknajsilniej podkreślone pragnienie, by w walce, jaka się przed naszemi oczyma rozpoczęła, w interesie dobrej sławy polskiego imienia stosowane były ludzkie, kulturalne i ściśle pokojowe środki. Ci wszyscy, którzy młodemu ruchowi życzą zwycięstwa, winni czuwać, by zachował nadal swój dotychczasowy pozytywny, twórczy charakter, bez żadnych zboczeń i wynaturzeń. Środkami godziwymi: solidarnością, miłością swoich, egoizmem zdrowym, na którym nam zbywało zawsze, odzyskajmy nasze miasta, od wieków nam z rąk wytrącone, a dziś zamieniane przez obcych przybyszów w placówki wrogie naszemu narodowi! Tem życzeniem zamykając list, adresuję go idealnie do wszystkich, którzy tego życzenia jeszcze nie żywią, a tylko pozwalam sobie złożyć go na Pańskie ręce.

II.

Szanowny Redaktorze!

Korzystam ponownie z gościnności Pańskiej, aby odpowiedzieć na uwagi, któremi redaktor „Nowej Reformy“, p. Konstanty Srokowski, zaszczycił mój list w sprawie żydowskiej, zamieszczony w poprzednim zeszycie „Krytyki“.

Słusznie wytyka p. Srokowski na wstępie swych uwag to niesłychanie anormalne i smutne zjawisko, że kwestya żydowska, nawet wobec zaognienia, jakiego doznała w Królestwie, nie weszła jeszcze na porządek dzienny dyskusyi publicznej w Galicyi. I ja do tej skargi przyłączam się, z małą atoli poprawką na marginesie. P. Srokowski wyraża obawę, aby to milczenie w grobowości swej nie przypominało „grobu“, rozumie się, naszego, gdy ja skłonny jestem tłomaczyć to zjawisko i mniej koturnowo i zapewne zgodniej z rzeczywistością: tłómaczę je, jako m i l c z e n i e ż y d ó w, stojących w tej, czy owej formie, za plecyma całego szeregu wielkich i małych organów naszej opinii. Ci polityczni, czy finansowi patronowie naszej prasy, poprostu nie życzą sobie, aby czytelnik polski dowiedział się, że istnieje w Polsce sprawa żydowska. Rozumiejąc dobrze, że dyskusya publiczna na ten temat, w jakimkolwiek duchu by ją nastrojono, raz wszczęta, musiałaby ostatecznie doprowadzić nasze społeczeństwo do otwarcia oczu na niebezpieczeństwo żydowskie, uznają za najwłaściwsze: przemilczeć istnienie samego problemu. Toteż pisma nasze, zawisłe od żydów (a ileż jest tych szczęśliwych,

które mogą o sobie tego nie powiedzieć?), z wrażliwością dalekowidza umieją wypatrzyć najmniejszą chmurkę na najbardziej egzotycznych horyzontach, tylko nie dostrzegają tego, co dzieje się we własnym naszym domu, a uwagę czytelnika swego radeby skierować choćby na księżyc, byle ją odciągnąć od tego najbliżej go obchodzącego zagadnienia. O bojkocie w Królestwie tylko pantoflowa poczta przynosi do Galicyi głuche wieści. O waleniu się w gruzy długoletniej polskiej oryentacyi w sprawie żydowskiej tuż za kordonem wie szersza publiczność nasza właśnie tyle, co o ostatnich prądach politycznych w królestwie syamskiem. Nie próbuje się nawet zwalczać idei bojkotu. I to mogłoby się okazać ryzykownem w skutkach. Milczenie! — oto parol... Doświadczony i wytrawny publicysta, z którym przychodzi mi na tem miejscu rozprawić się, nie może być chyba posądzony o nieznajomość stosunków, o których wróble świergocą na progu każdej krakowskiej kawiarni. Dlatego miałbym mu za złe to pospieszne szafowanie cmentarnem widmem naszej przyszłości, gdyby nie nasuwało mi się przypuszczenie, że, używając grobowej metafory, chciał może tylko podkreślić wewnętrzną pustkę wielu naszych wpływowych dzienników, które z prawdziwą rozrzutnością talentów i farby drukarskiej śledząc codziennie najsubtelniejsze drgnienia w konstelacyi politycznej na przestrzeni od Madrytu po Konstantynopol, nie znajdują czasu dla jednej z najżywotniejszych spraw własnej ojczyzny.

Lecz redaktor „Nowej Reformy“ przemówił... dzięki „Krytyce“. Do głosu tego niech mi wolno będzie przywiązywać wyjątkową wagę probierczą. Tezy o potrzebie, czy konieczności, dalszego konserwowania naszego współżycia z żydami broni tu już nie egzaltowana panna Sempołowska. Rolę obrońcy przyjął pisarz wybitny, umysł ścisły i politycznie pogłębiony, jeden z luminarzy naszego obozu liberalnego w Galicyi. Na obronę pozycyi żydowskiej przytoczy niezawodnie wszystko, co można było przytoczyć. Będziemy słuchali pilnie jego wywodów — i przekonamy się, że trud nawet tak znakomitego rzecznika jest tu bezpłodny, że

z punktu widzenia interesów polskich, stanowisko tych, którzy zasadzie zerwania stosunków z żydami przeciwstawiają ideę dalszego kontynuowania historycznej spółki polsko-żydowskiej, żadną miarą obronić się nie da.

. . . .

P. Srokowskiemu muszę na wstępie wytknąć pewną karygodną licencyę. Walcząc chwalebnie z wszelkiem upraszczaniem sprawy żydowskiej, sam przecież uprościł ją sobie nienajgorzej: ugodził w „antisemityzm“. Stary, czcigodny szablon głosił uporczywie przez długie lata, że w stosunku do żydów istnieją tylko dwie możliwości: albo filosemityzm, albo żydożerstwo. Nie sądziłem, że go i w tej polemice powitam!

Ponieważ dla szanownego mego przeciwnika punktem wyjścia było moje wystąpienie, poczuwam się w interesie zpewnością nietylko własnym, do obowiązku kategorycznego stwierdzenia, że antisemitą nie jestem. Antisemita, jak samo brzmienie wyrazu wskazuje, to ktoś, co żywi niechęć aprioryczną, zasadniczą, niechęć, możnaby powiedzieć, bezprzyczynową do rasy żydowskiej. Ja takiej niechęci nie żywię. Pochodzenie żydów jest mi zupełnie obojętne, ich typ fizyczny wydaje mi się raczej oryginalnie piękny, nie ziębią ani grzeją mnie ich odmienne wierzenia religijne, umiem cenić i szanować poszczególnie wzięte jednostki, należące do tego obcego mi świata. Tem bardziej przyjazne uczucia żywię wobec tych, co poczuwają się wraz ze mną do solidarności narodowej. Gdzie tu antisemityzm?... Analizuję sumiennie moje poczucie subjektywne i spostrzegam tylko, że żydzi zajmują tam miejsce, jakie wyznaczam tym, których interesy zbiorowe są sprzeczne z interesami narodu, do którego należę i na szwank je narażają. Z tej kolizyi usiłuję wyjść cało. Nie pragnę żydów ścigać za to, że są żydami, pragnę się tylko uwolnić od nich. Nie zaczepiam, lecz się usuwam. To różnica bardzo głęboka. Niewątpliwie są na świecie ludzie, żywiący do żydów rdzenną antypatyę rasową. Musi ich być niemało w Niemczech i Francyi, skoro żydzi, stanowiąc tam

tak znikomo drobne garści i będąc tak znakomitymi patryotami, że n. p. w gorliwości patryotycznej przechodzą samych hakatystów, przecież wywołują przeciw sobie głośne i aż do nas docierające objawy niechęci. O ile o Polskę chodzi, sprawa przedstawia się cokolwiek inaczej. Nie mamy w krwi żydożerstwa. „Tak mało antisemickiego społeczeństwa, jak nasze, przy tak wielkiej ilości powodów, które gdzieindziej antisemityzm wywołują, nie ma na świecie“, zauważa bardzo słusznie R. Dmowski, stwierdzając tem samem, że instynktowej, rasowej idyosynkrazyi do żydów nie ma w Polsce, jako zjawiska. Zapewne, przykłady jej spotykamy i u nas. Ale wszystkich, którzy dążą do wyzwolenia się z pod gospodarczej przewagi żydowskiej i pragną zażegnać płynące z niej niebezpieczeństwo polityczne, zapędzać gromadnie na tak pojęte podwórko „antisemickie“, jestto takie same igranie z prawdą, jakiem do niedawna była mistyfikacya, uzależniająca patent na postępowość... od sympatyi dla Nalewek. Niemniej groźny okrzyk: antisemita! rozlega się na prawo i lewo, wszędzie, gdzie my zyskujemy, a żydzi przez to ponoszą szkodę. Metoda ta, metoda wystawiania na sztych hasła, pracowicie i celowo zniesławionego, była mądrze obmyślana. W przyszłości jednak, jak sądzę, będzie to hasło traciło coraz bardziej swą wypróbowaną zdolność straszenia grzecznych i dobrze wychowanych dużych dzieci polskich.

Z tego założenia wypadł zasadniczy pocisk w stronę moich skromnych szańców. Podciągnąwszy także stanowisko przezemnie zajęte, pod „antisemityzm“, ciska p. Srokowski groźną petardę: Antisemityzm — to sentyment... Cała budowa moja rozsypuje się, jak domek z kart, albowiem podstawa jej jest chybiona, albowiem wszystko, co powiedziałem o konieczności narodowej emancypacyi miast w Polsce, o konieczności zajęcia przez nas miejsca żydów, będąc w gruncie rzeczy antisemityzmem, „opiera się w ostatniej instancyi o uczucie i uczuciem żyje“, a uczucie jest najbardziej zawodnym doradcą w polityce. Zostawmy antisemityzm w spokoju. Ciosem zarzutu „uczucia“ chce mię p. Srokowski po-

walić, stwarzając w długim i misternym wywodzie pozory, jakoby przeciwstawiały się tu sobie: chłodny, trzeźwy, ścisły rozum statysty — przeciwnik bojkotu żydów, i rozczochrana impulsywność afektu — zwolenniczka tego bojkotu.

Ale są to tylko dobre chęci mego szanownego przeciwnika. Istnieje bowiem niejaka różnica między działaniem uczuciowem, a uczuciem, jako źródłem działania. Oszczędzając sobie potwierdzania katechetycznej, przez nikogo chyba nie zaczepianej prawdy, że uczucie, jako sternik działania politycznego, bywa tylko ojcem marnych odruchów, ośmielę się spytać p. Srokowskiego: Co mianowicie chciałby ulokować u podstaw kwestyi żydowsko-polskiej i wszelkich wogóle kwestyj narodowych, skoro usuwa stamtąd sentyment?... Poczucie wspólności plemiennej i duchowej, przyrodnicze przywiązanie do cech właściwych grupie, do której się należy, dziedzictwo historyi, które to przywiązanie zacieśnia, zadowolenie z odnajdywania siebie samego w wielkiem zwierciedle zbiorowości, te wszystkie zjawiska, które warunkują byt odrębny narodu — czemże to wszystko jest, jeśli nie formą przejawienia się uczucia?! Gdzie są nowocześni mężowie stanu, którym obcą jest ta pra-przyczyna działania? Najtrzeźwiejszy polityk naszego czasu, Bismark, stwarzając wielkie Niemcy, nie kierował się „w ostatniej instancyi“ czem innem, jak właśnie takim sentymentem. To, nie co innego, było ostatnią instancyą zarówno Garibaldiego, jak Cavoura, to była ostatnia instancya czynów Wielopolskiego, którego chłodny mózg nie przeszkodził ręce sięgnąć po nóż samobójczy w chwili politycznego bankructwa. Uczucie, i tylko ono, będzie zawsze tkwiło na dnie najtrzeźwiejszych prac i dążeń tych wszystkich, co w wielkim czy małym zakresie, wypracowują formy zbiorowego życia, wszystkich, wyjąwszy, rzecz prosta, karyerowiczów. Radbym wiedzieć, jak inaczej nazywa się ten ostatni motor działania? Czem, jeśli nie tym motorem, zdołamy wytłomaczyć zagadkę wszystkich ruchów narodowych na świecie, czem objaśnimy naszą własną walkę o byt, toczoną

przecież nie z samymi tylko żydami?... Niepodobna wytłomaczyć jej chyba nakazem rozumu. Rozum w swej najbardziej niezłożonej postaci, (niezłożonej, gdyż dążenie do różnorodności w zbiorowem życiu wyłania z siebie i mózg wyżej uorganizowany), nakazywałby nam raczej zrzucić z siebie polskość, która z utylitarnego punktu widzenia jest dla nas płaszczem fatalnym Dejaniry. Zapewne, walka o nasze prawo do życia narodowego jest także kwestyą chleba, ale czy ta kwestya istniałaby dla nas, czy nie znikłaby tego samego dnia, w którym zdecydowaliśmy się broń złożyć? W Wielkopolsce wystarczy nam tylko wyciągnąć ręce do nowej, niemieckiej ojczyzny, aby przestać być żywiołem wywłaszczanym, dręczonym i ściganym, aby módz wziąć pełny udział w materyalnym dobrobycie, jaki przysługuje narodom panującym. Jeśli tego nie czynimy, jeśli przy obfitym stole, który zaprasza nas pod warunkiem wyrzeczenia się polskości, nie żywi się zbyt wiele żołądków polskiego pochodzenia, jeśli nie ulegamy tam pokusie zamienienia polskiego ubóstwa na niemiecki zbytek, to dzieje się to tylko dlatego, że nasi tamtejsi rodacy „opierają się w ostatniej instancyi o uczucie i uczuciem żyją“. Usuńmy je, a wtedy istotnie do absurdu zejdzie dalsze miotanie się w więzach.

Nie stwierdza się więc przez to jeszcze żadnej herezyi politycznej, gdy wskazuje się, że źródłem działania tych, którzy przez wyparcie nadmiaru żydów dążą do spolszczenia miast naszych, jest sentyment. Tak, jest niem sentyment, ten sam właśnie, dzięki któremu wogóle jako naród istniejemy, ale który wcale nie przesądza metod działania i bynajmniej nie wymaga, aby te metody były koniecznie „uczuciowemi“.

. . . .

Przechodzę do praktycznego ocenienia sprawy żydowskiej u nas przez p. Srokowskiego. Czekają nas rewelacye. Pierwsza z nich i najbliższa z szeregu, obwieszcza, że współżycie nasze z żydami w dzisiejszym ilościowym stosunku, to rzecz na wieki spetryfikowana, to „fakt nieusuwalny“. Jeżeli ktoś mniema, że żydów można choćby częściowo (!) z Polski

usunąć, to niechaj wie, że tkwi w grubym błędzie, że to jest „niewykonalne we współczesnych warunkach życia cywilizowanego w ogólności, w warunkach zaś naszego życia narodowego w szczególności“. Z nietajonym niepokojem czekamy na racye, któreby to równie śmiałe, jak kategoryczne twierdzenie uzasadniły. Niestety!... Te racye, ku szczeremu naszemu żalowi, zachowane zostały w najściślejszej tajemnicy. Twierdzenie rzucono bez żadnych zgoła dowodów. Co do mnie wszakże, podejmę chętnie trud wykazania, że widoki, które przyświecają rozpoczętej obecnie, a na długo zakrojonej likwidacyi sprawy żydowskiej w Polsce, nie są znów tak bardzo beznadziejnie ułudne, a uczynię to, posługując się faktami, zaczerpniętemi z tego samego właśnie życia, na które powołuje się szanowny mój przeciwnik.

Tym z pośród nas, którzy gotowi byliby uwierzyć na słowo, że sprowadzenie ilości żydów w kraju naszym do miary właściwej jest rzeczą spóźnioną i niewykonalną, pragnę wskazać na procesy analogiczne, które gdzieindziej, a częściowo i u nas, okazały się przecież wykonalnemi, pragnę wskazać mianowicie, że „współczesne warunki życia cywilizowanego“ bynajmniej nie wykluczają wielkich, gromadnych przesiedleń, przeciwnie, one takie przesiedlenia ułatwiają właśnie, jak nigdy, gdyż nigdy tak znakomite środki komunikacyi nie stały na usługi człowieka, nigdy przestrzeń nie była tak opanowaną, nigdy w okresie kultury człowiek tak luźnie nie był związany z terenem swej osiadłości, tak łatwo nie mógł przenosić się z miejsca na miejsce, jak dziś. Wskażę na przykład Wielkopolski, którego nigdy do zbytku nie można powtarzać, gdzie żydzi, przed pół wiekiem jeszcze tak samo niemal liczni, jak u nas, ustąpili z miast i z całego kraju, wywędrowując do Niemiec. Wskażę na sąsiedni nam naród czeski, który zdołał przez przeciąg dwóch generacyi wyprzeć żywioł niemiecki z większości swych miast, nie wykluczając Pragi. Dowodem ruchomości wielkich rzesz ludzkich jest chyba Irlandya, zkąd wskutek niepomyślnych warunków politycznych i gospodarczych w krótkim stosunkowo

czasie miliony odpłynęły za morze. Po utworzeniu się państwa bułgarskiego, cała ludność grecka tego kraju wobec zmiany warunków życia niemal gremialnie przesiedliła się do swej pierwotnej ojczyzny, lub wyszła w świat. I w tej chwili jesteśmy świadkami gromadnych takich odpływów. Ludność mahometańska Bałkanu emigruje masowo z zachodu na wschód południowy, a 120.000 turków przekroczyło Bosfor i udało się w głąb Małej Azyi. Cóż wreszcie dzieje się z naszym własnym ludem? Pełno go w głębi Niemiec i w kopalniach Ameryki — tworzy tam milionowe masy. W ciągu lat dziesięciu, w latach 1900—1910, nie mniej, jak pół miliona naszych chłopów wyszło bezpowrotnie z samej tylko Galicyi!...

Wszyscy dokoła okazują się, w tej, czy owej mierze, „usuwalnymi". Nie dziwi nas to bynajmniej. Nie dziwi nas, ani razi, przedewszystkiem, „usuwalność" własna, której praktyczne skutki tak rzadko spędzają sen z powiek wielu organom naszej opinii. Piąta część narodu polskiego żyje, wyrzucona za próg Polski. To jest zgodne z prawami życia! Tylko gdy o usunięcie żydów chodzi, znajdą się tacy, co będą wołać, że to niemożliwe, że to przeciwne samej naturze. Oni jedni są nieusuwalni?... Nie, tak źle, jako żywo, nie jest.

Mój przeciwnik miał wszakże powód, dla którego nie chciał uzasadniać swej kategorycznej, a gołosłownej tezy. Nie uzasadniał jej dlatego, ponieważ sądzi, że gdybyśmy nawet mogli żydów zupełnie z ziem naszych usunąć, „nie powinnibyśmy tego czynić... w naszym własnym interesie!..." Czy to żart karnawałowy, żart, który się wita i żegna uśmiechem, choćby krył w sobie kłującą igłę ironii? Nie, p. Srokowski zachowuje oblicze poważne, a jego ironia, tak bardzo podobna do natrząsania się, jest najzupełniej bezwiedna. Zawisa nam po raz drugi na ustach niecierpliwe pytanie: Dlaczego?... Dlaczego mielibyśmy drzwi zamykać przed żydami, wychodzącymi z Polski!... Ale p. Srokowski odmawia nam odpowiedzi bezpośredniej. Zostawia nas z otwartemi ustami, skamieniałych w zdumieniu.

I tylko przez szczeliny gmachu jego rozumowania wydostają się skąpe promienie, wyjaśniające chociaż w słaby sposób niepojęte drogi ducha, na których można było dojść do takiego wniosku. Woła p. Srokowski na pomoc starożytnych fenicyan, którzy byli semitami, jak żydzi, i byli znakomitymi organizatorami życia handlowego. To ma nas przekonać, że żydzi są dla nas niezbędni!... Woła na pomoc Sombarta, aby świadczył, że żydzi są pożyteczni. Cóż mówi ów Sombart? Ze pewna domieszka żydów w łonie innego narodu może być dla tego narodu korzystna, jak było w Holandyi, Anglii, Lombardyi, gdzie torowali żydzi drogi nowoczesnemu życiu gospodarczemu. Trzy miliony żydów w Polsce, to podług p. Srokowskiego, również tylko niewinna domieszka. Ma p. Srokowski o pojemności naszego żołądka wyobrażenie stanowczo przesadne. Zapytuje wreszcie, jak można naród tak fenomenalny, który w walce o byt wykazał cechy tak zdumiewająco cenne, uważać *a priori* niejako za żywioł szkodliwy? A priori!... Więc to był sen, te ubiegłe lat 600, więc dopiero dziś naprawdę witamy żydów w naszych progach?

Nie, to była rzeczywistość, o której posiadamy nawet dość dokładne relacye...

. . . .

O tej rzeczywistości będziemy mówić w dalszym ciągu. Na skronie polskiego żydostwa kładzie bowiem liberalny publicysta krakowski wawrzyny dziejowe, o jakich ono samo nigdy zamarzyć nie mogło. Żydzi — słuchamy, nie wierząc uszom własnym — stworzyli handel w Polsce! Miejsce, które zajęli, przybywszy do nas po pogromach w zachodniej Europie, było nietylko puste, było wręcz „nieoznaczone"!... To mówi p. Srokowski.

Ale co mówi historya?

Historya opowiada nam o amfitryonach i bankierach królów, Wierzynkach i Bonarach, którzy nie mogli wszak wyłonić się na pustkowiu, ani w środowisku żydowskiem, opowiada nam, że późno jeszcze poza średniowiecze życie

gospodarcze miast naszych znajdowało się w ręku polaków i niemców, że miasta te, silne i ludne, uległy następnie całkowitemu spolszczeniu, a żydzi długo jeszcze nie odgrywali w nich roli wybitniejszej. Opowiadają nam dzieje o kwitnącem polskiem mieszczaństwie, które urosło w potęgę, prowadziło handel światowy, posługiwało się własną flotą. Polscy kupcy Lwowa prowadzą operacye handlowe z Genuą i Niemcami. Handel kupców krakowskich rozciąga się od Flandryi aż po Kaffę nad Morzem Czarnem. Ta siła gospodarcza czyni z patrycyatu mieszczańskiego groźnego konkurenta szlachty, tem groźniejszego, że zwolna zaczynają miasta zdobywać prawa polityczne, mają możność zasiadania na sejmie, gdzie w r. 1505 posiadają swych przedstawicieli, garną się do spraw publicznych i niedwuznaczne objawiają tendencye do wywierania wpływu na losy państwa. Bogaty, niezależny i oświecony żywioł ten zagraża coraz bardziej jedynowładztwu szlacheckiemu, i wtedy to żydzi stają się w ręku szlachty taranem do rozbicia tego formującego się i już na widownię dziejów wypływającego trzeciego stanu w Polsce. W jaskrawem przeciwieństwie do legendy, jakąby p. Srokowski pragnął wytworzyć, poświadcza historya, że byli żydzi nie twórcami, lecz grabarzami miast naszych. Tego naturalnego swego współzawodnika zdusiła szlachta właśnie przy pomocy żydów, uzbrajając ich odpowiednio i otaczając najczulszą opieką, jako pożądane dla siebie narzędzie.

Wiemy naodwrót, jak przystosowywali się żydzi do tej roli, płaszcząc się przed szlachtą, deprawując ją, rozwijając w niej cechy, dogodne dla swoich widoków i pod osłoną jej wprowadzając w życie cały arsenał nieuczciwych środków konkurencyi. Niech wolno mi będzie jeden przykład przytoczyć. Wiadomo, że była szlachta wolna od ceł na towary, sprowadzane dla własnego użytku. Potrafili to żydzi wyzyskać, wynajdując szumowiny szlacheckie, pod których fałszywą firmą dowozili towar bez cła, i zalewając nim rynek, uniemożliwiali kupcom polskim współzawodnictwo ze sobą. Takich dróg były dziesiątki. Przypomnijmy bankierskie czyn-

ności żydów. Wyroki sądowe wykazują nieustanne gwałcenie przez nich prawa, normującego wysokość procentu, który w lichwiarskiej swej postaci dziesięćkrotnie nieraz przekraczał dozwolone granice. „Korzystać z ułomności, z błędów ludzkich, było systematem żydów — mówi znakomity historyk, Wł. Smoleński — na tej zasadzie opierała się większość ich operacyi przemysłowo-handlowych“. Pogarda dla handlu i obrotu pieniężnego, która u nas wieki przetrwała, to dzieło żydów, gdyż dzięki nim utożsamiły się z czasem w pojęciach ogółu handel i nieuczciwość. Zdezorganizowali, zniszczyli żydzi zdrowy rozwój naszych miast, tak samo, jak dziś, celując w paserstwie, przemytnictwie i tandecie, celując brakiem skrupułów, zwycięsko konkurują z naszem kupiectwem. Niech to wszystko Sombart zapisze na rachunek ich zasług dla kultury handlowej w Polsce!...

Idziemy dalej w zdradliwy wir historyi. Pyta p. Srokowski: Skoro żydzi winni są naszej słabości, to jakim sposobem działo się, że, nie uwalniając się od nich ani na chwilę przez sześć wieków, mieliśmy jednak całe okresy potęgi? Dlaczego nam wówczas żydzi nie przeszkadzali?... Działo się to bardzo prostym sposobem. Działo się dlatego, ponieważ w czasie największego naszego rozkwitu żydzi nie byli jeszcze ani dość liczni, ani dość silni. „Przeszkadzali“ nam już stanowczo w wieku XVII, gdy podkopawszy znanemi, scharakteryzowanemi wyżej środkami mieszczaństwo polskie i pozbawiwszy naszą nawę państwową koniecznej przeciwwagi szlachty, nachylili ją tem samem ku zatonięciu. Powiada p. Srokowski z uśmieszkiem, chcąc osłabić pozycyę „panów bojkotofilów“, że „niezupełnie to wszystko (t. j. nasze powodzenia i niepowodzenia) zależało od istnienia, lub nieistnienia żydów“. Istotnie. Wiadomo dość powszechnie z czytanek szkolnych, że czynnikami naszej słabości, a równocześnie jej przejawami, były także: brak rządu, autonomiczna wszechwładza sejmików, liberum veto, elekcyjność tronu itd., itd. Sęk w tem tylko, że tronu już nie możemy uczynić dziedzicznym, ani także na nicby się nie zdały dobre chęci

panów bojkotofobów, aby ukrócić fantazyę sejmikującej szlachty. Te bowiem czynniki znikły z naszego życia. Nie znikły natomiast miasta, których zżydzenie było „niezupełnie“, ale w dość dużym stopniu, przyczyną naszego upadku, i te możemy jeszcze na szczęście odzyskać, czyniąc z nich żywą siłę w dziele naszego ogólnego odrodzenia.

. . . .

Przechodzimy do chwili bieżącej — i teraz wypowiada p. Srokowski swój zasadniczy pogląd na rzecz, który przewijał się już w toku wycieczki w dziedzinę historyi. Istnienie, lub nieistnienie kwestyi żydowskiej, kwestya szkodliwości, czy pożyteczności żydów dla nas, to, zdaniem jego, w gruncie rzeczy tylko sprawa naszej kultury w najrozleglejszem i najgłębszem znaczeniu tego słowa, jej „wartości emocyonalnej“, jej „siły życiowo-motorycznej“, jej zdolności przyciągania i wchłaniania. „Żyjemy w okresie głębokiego upadku naszej kultury“, i oto, dlaczego żydzi odpadają od nas, a nawet wrogo stają przeciw nam...

Cały splot zagadnień!...

Zostawiam na uboczu kwestyę „głębokiego upadku“ naszej kultury. Obawiam się, że nie porozumiałbym się z szanownym moim przeciwnikiem co do miary, którą tę głębokość należy mierzyć. Nie będę dlatego mówił o wypróbowanej sile przyciągającej, jaką wobec żydów polskich wykazuje kultura Prus, gdyż, zależnie od kryteryum, unosi się ona, być może, na niebotycznych wyżynach. Spytam natomiast, czy kultura pogromów rosyjskich posiada tak wielką wartość emocyonalną i czy to ona właśnie jest ową siłą motoryczną, która z żydów czyni nietylko patryotów rosyjskich na własny użytek, ale także hałaśliwych apostołów Rosyi w Polsce? Czy to tęsknota za „kulturą“ podyktowała żydom znane pobożne życzenie, aby Rosya czemprędzej osadziła u nas nowego Murawiewa? Doprawdy, zbyt zabawna komedya pomyłek wynika z założenia „upadku naszej kultury“. Być może, żeśmy i wewnętrznie podupadli w tych ciężkich terminach, być może, że nie jest kultura nasza

fascynującą, ale czy nie za wiele chce p. Srokowski złożyć na karb tej jej słabości? Rzecz dziwna, że gdy nas tylko tak gorliwie wciąż opukuje, nie przejdzie mu ani przez myśl, że może należałoby poszukać drugiego końca w węzełku polsko-żydowskim. Tę lukę pragnę wypełnić chociaż częściowo, zwracając uwagę na rzecz dość pospolicie znaną, na pewną, historycznie uzasadnioną, właściwość duszy żydowskiej, na kult, jaki żydzi typowo żywią dla narodów panujących, na uniżony, służalczy respekt, jaki żywią dla każdej siły zwycięzkiej. Znany historyk dr. Majer Bałaban powiada, iż w ciągu długich stuleci „od dzieciństwa nabywał żyd sztuki pełzania i płaszczenia się wobec tych, od których był zależny“. Niewolnicza psychologia zbiorowej duszy żydowskiej, wzwyczajonej do pokory wobec silnych i tem zapalczywszej do okazywania swego lekceważenia tym, którzy silnymi być przestali, może nam wiele wyjaśnić. Czy to nie tu wypadkiem tkwi ów motor, który czyni litwaków awangardą Rosyi nad Wisłą, a żydów poznańskich hakatystami? Może to niekoniecznie taka, a nie inna wartość naszej duchowej kultury sprawia, że żydzi tak wydymają wobec nas wargi?... Potwierdza te wątpliwości spostrzegacz, zasługujący na pełne zaufanie. Tak, to nie kwestya naszej k u l t u r y, rzekomo „głęboko upadłej“, to kwestya naszego b r a k u w ł a d z y. „Podniosło się przeciw Polsce żydostwo, pragnąc, jak osioł w bajce, kopać konającego pozornie lwa!“... Te mocne wyrazy nie z moich ust wyszły: to mówi ukryty pod pseudonimem W. Sedeckiego pisarz socyalistyczny — żydowskiego pochodzenia...

Bada p. Srokowski dalej, czy przypadkiem nie ubóstwo naszej i d e i n a r o d o w e j winno, że żydzi odwrócili się od nas, czy nie utraciła ta idea siły przyciągającej, zdolnej masy żydowskie „zagrzać i porwać“? I oczywiście także nasza idea narodowa jest winna — w przekonaniu p. Srokowskiego... A więc to tu, w lepiance wyjałowionej polskiej myśli politycznej, w cieniu naszej duchowej niemocy, jako skutek jej, wylągł się separatyzm żydów?... Ależ nie! Bynajmniej! On

urodził się w pałacach dumnie sterczących, pod skrzydłami najpotężniejszych kultur i najsilniejszych współczesnych idei narodowych, urodził się zdala od nas, twórcami tego separatyzmu byli żydzi angielscy i niemieccy, Zangwill, Nordau, Hercl, Birnbaum i inni, z których wielu nie wyobraża sobie nawet, jak wyglądają warszawskie Nalewki. Rzecz istotnie kłopotliwa: Czyżby i idee narodowe tych wielkich ludów miały posiadać za mało siły, zdolnej „zagrzać i porwać“?...

Idźmy dalej...

Wskazując na r. 1862, który świadczy, że przy rozstrzyganiu kwestyi żydowskiej pierwszy impuls popychał nas ku pokojowemu współżyciu, zapytuje publicysta liberalny znacząco: — Cóż to się stało, że synowie ówczesnych żydów, zbratanych i solidarnych z nami, z taką nienawiścią spoglądają dziś na każdy objaw polskiego życia narodowego?... Zapewne! I p. Srokowski wie, że „żydzi zmienili się“. Ale to nie zatrzymuje jego uwagi, o tem niema co mówić, albowiem przyczyna, że kopie nas osioł z bajki, tkwić musi jednak w nas, w naszem osłabionem „tętnie narodowem“, w naszym „obniżonym polocie“, i to my — bijąc się w piersi — mamy odpowiedzieć na filuterne pytanie: Cóż się stało?...

Co stało się?...

Możnaby pytanie to powtórzyć w szeregu urozmaiconych waryantów: Cóż to stało się, że tłumy berlińskiego ludu niosły niegdyś na swych barkach polskich więźniów z Moabitu i że na burzliwe żądanie tego ludu stawał na balkonie swego pałacu król pruski, by się pokłonić Mierosławskim i Libeltom — a dziś w tym samym Berlinie powiewa tryumfujący sztandar hakaty?... Cóż to stało się, że za pamięci jeszcze naszych ojców najtłumniejsze demonstracye Paryża odbywały się pod hasłem wojny za Polskę, a dziś dla uniknięcia dźwięku naszego imienia przyswoiła sobie Francya wdzięczny rosyjski termin: inorodcy....

Stała się wielka rzecz, której związek ze sprawą żydowską oskarżyciel naszej kultury i naszej idei narodowej niepojętym sposobem przeoczył, stało się to, że od lat trzy-

dziestu przetworzyła się wręcz psychika narodów, że „młodą Europę“ zastąpiła Europa najmłodsza, że wszyscy dokoła przeżywają okres wzmożonego poczucia narodowego, które od dawnych humanitarnych, wszechludzkich haseł przeszło do egoizmu, tak czy inaczej interpretowanego, które na całym świecie dziś tryumfuje, a zwie się nacyonalizmem. Stało się to, że wśród tego intensywnego prądu, który wiele pojęć zmienił, także żydzi, uważający się, a przynajmniej pozwalający się uważać dawniej za klasę społeczną narodu polskiego, za „polaków mojżeszowego wyznania“, wszedłszy właśnie wtedy w orbitę głębokich przemian, jakie niosła demokratyzacya XIX. w., poczuli się odrębnym narodem (czemu się nie dziwimy), że w dalszym rozwoju tej swojej odrębności ulegli nacyonalistycznej wysypce i poczęli głośno, a nawet hałaśliwie marzyć o nowej Judei między Wartą i Bugiem, co miało ten osobliwy skutek, że głusi poczęli w Polsce słyszeć, a ślepi widzieć i że na porządek dzienny naszego życia wypłynęła kwestya żydowska.

Przeciwnik mój przeoczył to wszystko. Źle mówię! Przeoczył on nacyonalizm wszędzie, tylko oczywiście nie u nas. I na ten temat wysłuchujemy napomnień zarówno surowych, jak posługujących się niezupełnie ścisłemi obserwacyami. Obserwacya p. Srokowskiego poucza, że wszelkie „anti-izmy“ rasowe, czy religijne, towarzyszą stale epokom wewnętrznego upadku, zastoju i rozstroju. Szczególna rzecz! Zdawało mi się, że współczesna Francya, mająca mało żydów, zna jednak antisemityzm, zdawało mi się, że tenże sam antisemityzm dałby się bez zbyt nużących poszukiwań wykryć w Niemczech i że w tych Niemczech hulają rożne „anti-izmy“ na prawo i lewo, co dotkliwie na swej skórze odczuwają polacy, duńczycy, alzatczycy i może jeszcze jakie inne pomniejsze nacye, zdawało mi się nawet, że w Londynie zdarzyło się coś nakształt pogromu żydów, i zdawało mi się równocześnie, że ani Francya, ani Anglia, ani Niemcy nie znajdują się w okresie tak znowu gwałtownego zastoju i rozstroju. Mniejsza o to. Dość, że p. Srokowski nie widzi

nacyonalizmu ani na Nalewkach, ani na ulicy pod Lipami, widzi go tylko wśród nas. I w jak okropnych widzi go barwach!... Ekskluzywnośc! Nietolerancya! Zawiść! Nienawiść! Nadmierny egoizm chorego!... To jesteśmy my — to nacyonalizm polski! Mój Boże!... Nacyonalizm narodu podbitego, mającego na karku wszelkie możliwe nacyonalizmy, jakie się w naszej okolicy globu dadzą pomyśleć!... Rozglądam się pilnie dokoła: widzę szalejące w różnych stronach świata hakatyzmy, i żadną miarą nie mogę dopasować do nich tych naszych jedynych „kłów i pazurów“, które się nazywają błędami polskiej polityki wobec rusinów — tak dalekich zresztą także od roli niewinnych baranków. Widzę tylko, że istotnie i u nas zaczyna dopraszać się o swe prawa instynkt zachowania siebie przy życiu i że w tym naszym „egoizmie“, w tem poczuciu, że trzeba wzmacniać siebie i tylko siebie, tkwi siła odradzająca. Zdaje mi się, że to dobrze — ale p. Srokowski jest zwolennikiem innych metod... Wolałby, abyśmy byli już raczej „idealistami, marzycielami, szaleńcami nawet“, jak w epoce ostatniego powstania. I tu ten sam publicysta, który upominał nas, abyśmy, rozważając czynniki sprawy żydowskiej, pamiętali, że „nie jesteśmy z żydami sami na świecie“, zapomina nagle o tej nierozdzielności naszej od powszechnego oceanu życia, zapędza nas na jakieś odgrodzone od wszystkich podwórko, wyodrębnia nas, niby oddzielną planetę. Cały świat żyje w roku 1913 — bez żadnych ograniczeń korzystają z prawa tej współczesności i żydzi — my jedni bądźmy takimi, jakimi byliśmy w r. 1862, t. j. „zacieśniajmy symbiozę“ z żydami!...

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie wre walka narodowa o każdą piędź ziemi, o każdy poszczególny warsztat pracy, o każdą duszę — ale my zachowajmy serce gołębie, bądźmy „humanitarni“ i potykajmy się tylko „emocyonalną wartością“ naszej kultury!... I, szczerze mówiąc, dlaczego humanitaryzm nasz miałby ograniczać się do kramu dzisiejszego, czy jutrzejszego litwaka? Dlaczego nie miałby swych skrzydeł miłościwych dalej rozwinąć?... Oto siedzi sobie nad Wartą pocz-

ciwy Michałek niemiecki, którego tam osadziła dobra matka: kolonizacya. I jemu jest życie miłe i on radby się przy nas pożywić. Oto Iwan Iwanowicz Iwanow, dobry człowiek, lubiący jeść i wypić, w wygodnem gniazdku nad Wisłą sobie siedzący. Czemuż zaraz ekskluzywność, nietolerancya, zawiść, nienawiść! Dlaczego z nim także nie mielibyśmy humanitarnie pogodzić się i po bratersku urządzić sobie „symbiozy“, która tak gorąco zalecana nam jest z litwakami?

Ja tej subtelnej różnicy nie rozumiem...

Lecz liberalny polityk krakowski jest tylko o litwaków niespokojny. Szuka uporczywie sposobu na zakonserwowanie ich i znowu powraca do nas, znowu nas opukuje i powiada: „Może to nie żydów trzeba wyrzucać, ale siebie leczyć i wzmacniać?...“ Niestety — tu nie ma antytezy. Tak się to powikłało dziwnie, że jedno od drugiego zawisło, jedno drugie musi za sobą pociągnąć. Bo nie zechce nas chyba nikt przekonywać, że się gwałtownie osłabimy przez to, gdy będziemy kupować i sprzedawać między sobą. Nie, my właśnie siebie przez to wzmocnimy, a wzmocnienie to nieuchronnie zmusi żydów do szukania sobie klientów, czy wogóle źródeł życia, po za obrębem naszych siedzib.

. . . .

Myli się p. Srokowski, mniemając, że zniknie wskutek bojkotu możliwość wytworzenia modus vivendi polaków z żydami na przyszłość. Świadczy przeciw temu najprostsza logika, która mówi, że im mniej zostałoby u nas żydów, tem łatwiej mogłyby się pokojowo ułożyć obopólne nasze stosunki. Świadczą przeciw temu także i głosy — samych żydów. Są bowiem i wśród nich wyjątkowe jednostki, które rozumieją pobudki naszego ruchu i wcale się im nie dziwią. W żydowskiem piśmie „Odesskija Nowosti“ czytaliśmy niedawno: „Ludność polska dąży do wytworzenia własnej klasy średniej w miastach i upatruje w tem zadanie narodowe epoki: nie możemy mieć nic przeciw temu dążeniu“. Na publicznem zebraniu w Krakowie oświadczył narodowiec żydowski, p. Szwarcbaum: Polacy chcą stworzyć sobie własne

mieszczaństwo. Dotychczas ośrodek tego mieszczaństwa stanowili żydzi, skoro jednak zdeklarowali się oni, jako odrębny naród, nic dziwnego, że polacy pragną tę lukę w swym organizmie wypełnić żywiołem własnym. Nie dziwi się temu p. Szwarcbaum... O ileż mniej powinniby dziwić się publicyści polscy i rzekomo polscy, może właśnie najbardziej ci, co płyną pod flagą liberalizmu! Ale Panowie w szczególny zaiste sposób pojmujecie swój liberalizm. Fałszywa, podwójna miarka, oto kryteryum Wasze przy ocenie stosunków polsko-żydowskich. Zwalczacie bojkot polski. Wszystkie zaklęcia humanitarne drżą w powietrzu. Wszystkie upiorne widma, nacyonalizmu, nietolerancyi, nienawiści, drapieżnych „kłów i pazurów, wszystkie, jakie tylko istnieją, zostały przez Was uruchomione na postrach maluczkich. Dobrze. Dlaczegóż jednem okiem patrząc tak pilnie na palce polskiego konsumenta, drugie dyskretnie przymykacie na bojkot żydowski, cichy, ale niezłomny, dlaczego nie mówicie nic o tem niemem haśle „żyd do żyda“, które od wieków obowiązuje i które nie zna wprost wyjątków?... Zbyt jasną jest Wasza obłuda, która pod płaszczykiem pięknych haseł przemyca ochronę interesów żydowskich, a dąży do zaprzepaszczenia naszych. Liberalizm prawdziwy i szczery jest po naszej stronie. Żądamy swobody ruchów. Nie żądamy dla siebie nic więcej, jak tylko praw równych. To, co leży w instynkcie wszystkich żydów, bez względu na różnice kulturalne, towarzyskie i polityczne, ów potężny nakaz wewnętrzny, aby każdy wydany grosz zostawiać wśród swoich, pragniemy uczynić także zasadą naszego społeczeństwa. My żydom nie bierzemy bynajmniej za złe, że o sobie tylko myślą, że są egoistycznie solidarni, — słuchają oni głosu swego narodowego sumienia. Niechże i oni, oraz ci wszyscy, co świadomie i nieświadomie na usługach ich pozostają, nie rozdzierają na sobie szat patetycznie i nie dmą tak zapalczywie w jerychońskie trąby „humanitarnego“ zgorszenia i oburzenia, gdy my, pragnąc wzmódz się na siłach i doprowadzić naszą nadwerężoną strukturę społeczną do prawidłowego stanu, chcemy ten cel nasz

osiągnąć właśnie tą samą bezwzględną solidarnością, jakiej żydzi dają nam tak imponujący przykład.

. . . .

Dobiegam do końca.

Odpowiedzieć chcę jeszcze na jedną jeszcze, wcale zasadniczą, a zarazem ostatnią rzecz. Chodzi tu o zardzewiałą nieco teoryę niemożliwości „walki na różne fronty“, którą i p. Srokowski wyciąga z lamusa, okurza starannie i groźnie nam przed oczy ciska. Rzecz prosta, idzie o nietykanie żydów. Walczymy z Rosyą, z Prusami, „nawet z Austryą“, a teraz jeszcze mamy zwrócić się przeciw „wrogowi wewnętrznemu“. Czy to aby nie zbyt dosłowna interpretacya pięknego hasła mierzenia sił na zamiary?... obawia się p. Srokowski. Czy to wypadkiem nie fatalne zaślepienie?...

Nie, to tylko fatalne nieporozumienie!

Nie, to tylko mierzenie sił na konieczność!

Nasze różne „fronty“, to właściwie „front“ jeden, front zagrożonego i bronionego na całej linii życia. Zapewne, gdyby to od nas zależało, aby to ciężkie zadanie rozłożyć sobie na jakieś grupy i serye, byłoby to niesłychanie pięknie. Byłoby n. p. cudownie, gdyby Prusy zechciały zaczekać, póki nie uporamy się z naciskiem Rosyi. Ale nikt czekać nie chce! Nas atakują zewsząd i równocześnie, niszczą nas na wschodzie i na zachodzie, na północy i na południu, niszczą nas także wewnątrz. P. Srokowski radzi mimo to przeciwdziałać temu zniszczeniu — po kolei. Jeden i ten sam naród ma na pewnych placówkach stawiać opór, a gdzieindziej dać się spokojnie zjadać — i może pożeraczom swoim życzyć nawet dobrego apetytu? Lub też bronić się na zewnątrz, a w domu niby widz w teatralnej loży, przyglądać się, jak obca fala podmywa mu grunt pod nogami? Wolne żarty!... Wskazanie koncentracyi sił musi być brane z dużemi zastrzeżeniami, jeżeli nie ma się stać pustym, krasomówczym frazesem. Czy niezamącony spokój, jaki panuje w jakiejś jednej dzielnicy polskiej, n. p. w zupełnie martwych Książęcych Prusiech, wzmacnia nas gdzie-

indziej choćby o włos? Przeciwnie, spokój ten jest naszą słabością, a siły przybędzie i nam, gdy tam walka się rozpocznie. Nie jesteśmy mocarstwem, które, zaatakowane z dwóch stron, może na jednym zagrożonym punkcie okupić sobie pokój, a na drugim zgromadzić wszystkie siły, jakiemi rozporządza. My zawieszenia broni nigdzie kupić sobie nie możemy, bo to zawieszenie broni dałoby się uzyskać tylko za całkowitą cenę przedmiotu, o który walka nasza się toczy. Rada p. Srokowskiego jest w naszem położeniu tak samo niemożliwa do zastosowania, jak pomyśleć się nie da, abyśmy n. p. bronili najpierw ziemi, potem języka, potem handlu, potem nauki i t. d. Albo bronimy, a przynajmniej chcemy bronić tego wszystkiego razem, albo nie bronimy nic. Na wszystkich naszych „frontach" toczymy walkę o elementy życia, a taką walkę naród prowadzi na całej linii, albo nie prowadzi jej wcale.

Dlatego na nic nie zda się straszenie nas „frontem żydowskim", jak na nic nie zda się obniżanie jego niebezpieczeństwa. Każdy, kto dla swej samowiedzy narodowej nie szuka wykrętów kompromisowych, zrozumie, że to bezprzykładne przesycenie Polski żywiołem obcym jest naszą narodową klęską i że o tyle zdolniejsi będziemy do zwycięstw na zewnątrz, im więcej tego żywiołu wydzielimy z naszego organizmu. Ten „front", który Panowie tak gorliwie osłaniacie, nie jest ani mniej groźny, ani mniej ważny od pozostałych, jest może groźniejszy i ważniejszy. Jego nieprzyjacielska załoga, nazwana słusznie „armią czwartego najazdu", atakuje nas ze strony najdotkliwszej: klinem rozbiła nasz organizm narodowy, a dziś — sądząc, że konamy już, jak lew w bajce — szydząc, lżąc i urągając nam, godzi w odwieczną jedność naszego terytoryum...

Naród, który na takim „froncie" szukałby pokoju, byłby nikczemną trzodą, zasługującą istotnie na bat wiekuisty!...

III.

Szanowny Redaktorze!

I jeszcze garść uwag na zakończenie naszego sporu. W polemice, jaka się wywiązała na skutek mego pierwszego listu zabrał głos znamienny jeden z ideologów i czynnych działaczy syonizmu w Galicyi, dr. Dawid Malz. Cała dyskusya zamknięta została następnie przez Pana dłuższym wywodem, podsumowującym główne punkty naszego procesu polemicznego i broniącym w rezultacie stanowiska, jakie w sprawie żydowskiej zajmuje „Krytyka“ i pokrewny jej odłam opinii polskiej. Na jedno i na drugie pragnę jeszcze odpowiedzieć. Tu i tam bowiem znalazły się momenty nowe, których w rozprawie poprzedniej nie było, a które pozwolą mi uzupełnić wypowiedziane przezemnie myśli i zaokrąglić je w bardziej zwartą całość.

Zachęcony do wydania listów niniejszych w formie broszury i zniewolony wskutek tego do utrzymania tej ostatniej odpowiedzi na poziomie pewnej linii ogólnej, nie mogę iść w ślad za zbyt łamaną linią końcowych wywodów „Krytyki“, które wahają się od szczytów zagadnienia do zgoła drobiazgowych, aczkolwiek nieraz charakterystycznych wynurzeń. W przelocie tylko mogę ten i ów szczegół poddać pospiesznej korekcie. Kiedy n. p. pan Dawid Malz, w obronie stanowiska żydów w Polsce zapędzając się w dziedzinę aż tak ułamkową, jak — widownia teatru, ryzykuje twierdzenie, iż bez publiczności żydowskiej teatry nasze „nie

przetrwałyby ani tygodnia", trzeba, nie zatrzymując się dłużej przy tej zbyt zagalopowanej przechwałce, odpowiedzieć poprostu, że na wielkiej szali nie waży się podobnych drobiazgów. I tylko w nawiasie możnaby napomknąć, że znaleźlibyśmy niezawodnie i wśród siebie widzów na polskie dramaty w teatrze, gdybyśmy zdołali zakończyć szczęśliwie dramat naszego upośledzenia w życiu. Wskazaną jest jednak wogóle duża wstrzemięźliwość, gdy mówi się o konsumcyi polskiej kultury przez żydów. Dziesiątki tysięcy pism wiedeńskich, zalewające Galicyę, i zupełna niemal nieobecność żydów wśród czytelników pism polskich, nawet tych, które bronią żydowskiego stanu posiadania, to ilustracya, jakimi spożywcami naszej kultury są żydzi. Wszak nawet organ warszawski, który w założeniu swem miał być polską gazetą dla żydów, jest — ku głębszej rzeczy ironni — gazetą żydowską dla polaków. Oto jedno z drobnych „nieporozumień", o które mimochodem trzeba było potrącić. „Komunałem" nazywa p. Dawid Malz moje przypomnienie piór żydowskich, które judzą przeciw nam na szerokim świecie. Woła: Czemu te ogólniki? Czemu nazwisk nie wymieniacie? Wymień Pan nazwiska!... Śmieszna pretensya! Te małe pieski bowiem, co ujadają na nas na obcych dziedzińcach, bywają bezimienne i pod zbiorowemi tylko występują nazwami. Wymienię jedną z nich dla zaspokojenia ciekawości pana Malza i dla przykładu. Nazywa się ta grupa żydowskich oszczerców Polski: „Nową Pressą". Cała, in capite et membris, żydowska. Cała polakożercza. Niemal cała z polskich złożona żydów... Niezbyt dawno wywołało dużo wrzawy wystawienie w jednym z teatrów wiedeńskich operetki, szkalującej i ośmieszającej naród polski. Okazała się rzecz ciekawa: dyrektorem sceny, która ów paszkwil wystawiła, był żyd, autorem był żyd, aktorem, który skarykaturowaną postać polaka własną inwencyą ujaskrawił jeszcze bardziej, był żyd, oczywiście „z Tarnopola rodem". To trio symboliczne warto tu zapisać, jako komentarz do mniemanego „komunału" o oszczercach żydowskich. I jeszcze po drodze szczegół dla zilustrowania,

do jak nieprawdopodobnych granic sięga u inteligentnego polskiego żyda nieoryentowanie się w naszych sprawach. Mówi p. Malz o litwakach i mówi z goryczą: „Przy święcie nie uznaje się rozbioru Polski, deklamuje się o Polsce, Litwie i Rusi, Trójjedynej, ale żyd z Litwy i Rusi — to cudzoziemiec?“ Co można odpowiedzieć na tę naiwność, pokumaną z ignorancyą? Czy zaczynać od abecadła wywód, że cudzoziemcem jest dla nas ten, kto na ziemi naszej żyjąc, nie poczuwa się do żadnej z nią wspólnoty? Litwin, czy litwak, to dla żydowskiego inteligenta we Lwowie jest wszystko jedno!

Lecz to były tylko drobiazgi.

W replice p. Malza wybijają się inne momenty, przy których należałoby się przez chwilę zatrzymać. Odrzekając się planu stworzenia „Judei nad Wisłą“, zapewnia nas syonista lwowski: „Bylibyśmy matołkami, gdybyśmy marzyli o wyparciu wielkiego narodu o starej kulturze z jego odwiecznych siedzib!“ Można tu bez mała osłupieć. Kto mówił kiedykolwiek o — wyparciu? Tego brakowałoby tylko dla kompletu żydowskich uroszczeń. Wierzymy chętnie, że tak daleko te uroszczenia nie idą, wiemy atoli również, że po za oczywistym absurdem „wyparcia“ nas istnieje jeszcze całkowicie realna możliwość narodowo-politycznego współusadowienia się żydów na ziemiach naszych i zamienienia tych ziem na kraj dwu-narodowy, co żadną miarą nie może należeć do perspektyw dla nas ponętnych, a co, jako ideał, dojrzało już znakomicie w świadomości pewnego odłamu żydów za kordonem. Na taką to możliwość — w ślad za uderzeniem na trwogę przez prasę polską w Warszawie i w ślad za Jeremiaszowem iście wystąpieniem Aleksandra Świętochowskiego — wskazałem w poprzednich listach, starając się uzasadnić faktami, że możliwość ta nie jest bynajmniej chimeryczną. Dotknięcia tej realnej perspektywy pan Malz unika. On woli nas gorliwie przekonywać, że żydzi nie myślą o „zupełnem wyparciu polaków“. W tej, może tylko instynktownej, przebiegłości ukrywa się sens głębszy:

rozprawia się p. Malz z niebezpieczeństwem rzeczywiście nieistniejącem, aby stworzyć pozór, że wogóle nic nam nie grozi ze strony naszych żydowskich współmieszkańców. Pan, Szanowny Redaktorze, nie boisz się wogóle „planów nowej Judei nad Wisłą“, czy planów Judeo-Polski. Powiadasz, że „romantyczną“ jest moja obawa przed temi planami, nie one same. Winszuję Panu spokojnego sumienia — w mojem rozgościła się, niestety, szarpiąca troska. Jeśli żydzi, którzy podczas upadku Polski stanowili 8% jej zaludnienia, dziś tworzą już niemal 14%, jeśli mienie ich naszym kosztem pomnożyło się stokrotnie, jeśli ujęli w swe ręce 80% handlu, wykupili połowę nieruchomej własności naszych miast, wykupują wciąż ziemię, i jeżeli proces tego wzmagania się ich, a naszego cofania się, przybiera ciągle na sile, to nie wiem, czy moje obawy są rzeczywiście tak bardzo „romantyczne“. Ale statystyka nie mówi nam wszystkiego, jak nie o wszystkiem powiadamia nas powierzchowna obserwacya życia. Gdy sięgniemy głębiej, okaże się, że zżydzony jest nasz kraj w stopniu znacznie wyższym, niż o tem wiemy pospolicie. Pozwolę sobie spytać, tym razem nie pana Malza, lecz moich własnych rodaków, hodujących jeszcze szczerze asymilacyjne złudzenia, czy wiadomo im, że zaczyna się u nas przejawiać asymilacya odwrotna: polaków przez żydów, że na geograficznej karcie naszego kraju istnieją punkty i okolice, gdzie ludność tubylcza przystosowuje się już językowo do żydowskich większości lokalnych? Znający dokładniej nasze stosunki powiedzą, że znają to zjawisko. Wskażą n. p. na fabryczny Białystok, gdzie tysiące naszych robotników władają żargonem nieraz tak dobrze, jak językiem ojczystym. W mniejszym i większym stopniu zjawisko to dałoby się wyśledzić w różnych stronach Polski. Ale pozwolę sobie spytać dalej, czy wiadomo im, że istnieje jeszcze zjawisko inne, zjawisko trudne do uwierzenia: że na ziemiach historycznej Polski można spotkać autochtonów, językowo zupełnie zżydziałych? Znany publicysta i literat, p. Jerzy Bandrowski, w swoich wrażeniach z Huculszczyzny opowiada nam rzecz

potworną: w tym zakątku Galicyi chłopi, zmięszani i zżyci z żydami, spełniający wobec nich, zwłaszcza w miasteczkach, rolę helotów, ulegli do jego stopnia ich wpływowi, że można spotkać wśród nich jednostki, które nawet między sobą posługują się żargonem!

Tak wygląda „romantyczność“ naszych obaw przed powstaniem nowej Judei na nizinie sarmackiej!

Dalszy moment w wywodach p. Dawida Malza, to sposób, w jaki podobało mu się oświetlić naszą obronę przed zżydzeniem kraju naszego. Istotnym motywem walki, jaka się wszczęła za kordonem, ma być, według syonisty lwowskiego, nie fakt, iż żydzi są szkodnikami w naszem życiu, lecz, wręcz naodwrót, to, że „zapragnęli być obywatelami dobrymi“, że przestawszy być ciemną, uległą masą i dźwignąwszy się kulturalnie, chcą korzystać z praw obywatelskich na równi z nami. Jeżeli narzucać arogancko krajowi polskiemu cechy rosyjskie i wogóle obce znaczy być dobrym tego kraju obywatelem, to p. Malz ma słuszność. Nie mam na to nic do powiedzenia.

Natomiast pragnę oświetlić bliżej inny moment.

. . . .

Pan Dawid Malz odmawia polakom prawa do czynienia żydom jakichkolwiek zarzutów, gdyż jeśli są pasorzytami społeczeństwa, wśród którego żyją, to stali się takimi u nas i przez nas. „Kto — zapytuje — przykuł żydów do karczmy, do myt, kto ich wtrącił w otchłań faktorstwa i lichwy, kto ich uczynił bezecnymi?“ Uczyniła to Polska! Inaczej zgoła postąpiły z nimi narody zachodnie. „W Niemczech, we Francyi, Anglii, Austryi i w całym świecie nie spotyka się żydów przy karczmie, przy lichwie, przy handlu ciałem ludzkiem. Tam dopuszczono ich do wszelkich pól godziwej pracy i godziwie pracują“. Polska tylko spychała ich w odmęt upadku. „Polska nie ma prawa wytykać wad swoim żydom“ i (przygotujmy się na mocne wyrażenie) „cynizmu“ dopuszcza się każdy z nas, ktokolwiek na te wady wskazuje. Drażliwość żydów wobec wszelkiej krytyki jest znana oddawna. Tu jednak wyraziła się ona w sposób zupełnie niebywały. Nie-

tylko pretensye nasze są oddalone, ale my sami stajemy pod pręgierzem. Nietylko milczeć mamy, ale pochylić głowy, jak przystoi winowajcom. To oskarżenie naszej przeszłości, pełnej błędów, lecz, zdawałoby się, czystej i raczej do zbytku idealistycznej, nie może zostać bez odpowiedzi.

„Bezecnymi“ uczyniliśmy żydów. Uczyniliśmy z nich lichwiarzy i karczmarzy, faktorów i kupczących ciałem ludzkiem. Zatem przybyli do nas czyści i biali, jak śnieg? W polskiem dopiero zbrudzili się otoczeniu? Posłuchajmy, co opowiedzą nam o tem świadectwa dziejowe. Odrzućmy przedtysiącletnie echa, które z kart jeszcze Starego Zakonu wołają do dzieci Izraela: „Nie pożyczaj bratu twojemu na lichwę, ale pożyczaj obcemu!“ To zbyt dawne dzieje. Niechaj mówi historya bliższa, historya tych czasów, w których żydzi po raz pierwszy mieli wejść w stosunki z krajem naszym. Dotykam rzeczy bolących i odczuwam to z całą wrażliwością. Lecz rzeczy te muszą być przypomniane ku naszej obronie.

Historya ukazuje nam żyda średniowiecznego, zanim pojawił się w Polsce, jako lichwiarza i handlarza ludźmi, jako grosistę, który na całej niemal przestrzeni Europy zagarnął w swe ręce ohydny handel niewolnikami. „Ten proceder, przed którym wzdrygała się natura ludzka mieszkańców Polski — mówi autor „Dziejów sprawy żydowskiej w Polsce“, A. Marylski — wytworzył pierwszy zarodek odrazy do tych dziwnych ludzi, przebiegających po tropach człowieczych świat cały i jak kruki wietrzących mięso ludzkie“, a „lichwa tę odrazę do żydów jeszcze bardziej pogłębiła“. Wtrąciliśmy ich w otchłań tej lichwy? Cóż uczyni p. Malz z Szekspirowskim Szajlokiem, który nie na naszej chyba wyrósł niwie, którego wyobraźnia angielskiego poety powołała do życia z pośród lagunów Wenecyi? Pan Malz gotów nam wmawiać, że nigdzie żydzi nie spełniali hańbiących zajęć, że nie żywiono do nich nigdzie cienia niechęci, że „żółta łata“, wszywana w suknie żydowskie, to nasz wynalazek. Tę improwizacyę jednak muszą zamącić fakty. Tacy sami, jak u nas, byli żydzi na całym zachodzie Europy i po-

przez całe stulecia odzywa się tam o nich głos najostrzejszego potępienia. Od Lutra, który ich zwie „pijawkami krwiożerczemi“ i „nieszczęściem Niemiec“, do Napoleona, który widzi w nich „rozbójników naszych czasów“ i mniema, że należy im „wytrącić z rąk handel, który zniesławiają“. Przez całe wieki średnie, przez wiek XVI, XVII, XVIII, wszędzie na zachodzie skarżą się cechy na ich tandetę, giełdy kupieckie na ich nieuczciwą konkurencyę, sądy na ich oszustwa — skarżą się na nich wszystkie narody. Paryski cech kupiecki w wieku XVIII nazywa ich „osami, które wdzierają się do ulów, aby pozabijać pszczoły i wysysać z nich miód“.

Za temi słowami szły czyny bezwzględne, mściwe, często okrutne, bynajmniej nie na podkładzie religijnym. Książęta niemieccy i miasta niemieckie, podobnie, jak papież, podobnie, jak jeszcze nawet Napoleon na początku XIX w., w licznych wypadkach unieważniają poprostu długi, zaciągnięte u żydów, wychodząc z zasady, że lichwą wybrali już dawno kapitał z procentami. Tłum załatwia te porachunki brutalniej: urządza pogromy. Tak! Urządza je ten, niemiecki przedewszystkiem, zachód, który tak sławi p. Malz w przeciwieństwie do Polski. W Niemczech pogromy żydów ciągną się nieprzerwanym niemal łańcuchem aż do początków ubiegłego stulecia. Jeszcze w r. 1819 miasta Norymberga, Bamberg, Frankfurt, Karlsruhe, Hamburg, Dysseldorf, Heidelberg, ograbiają żydów i zmuszają ich do tłumnej ucieczki.

Tak wyglądała ta idylla!

Nie w śnieżnej więc szacie niewinności przybyli żydzi do nas i nie u nas bynajmniej ulegli licznym wadom, których autorstwo łaskawie nam pan Malz przypisał. Tacy, jak w Polsce, byli wszędzie, i tacy, zdeprawowani przez tysiącletnią już bezdomność, zjawili się w naszych progach. Nie poprawiliśmy ich, to prawda. Skoro jednak i z tego tytułu spotyka nas zarzut, tym razem z ust Pańskich, Panie Redaktorze, trzeba stwierdzić, że zbyt dziwną jest pretensya, iż Polska sama jedna w nadprzyrodzony jakiś sposób nie wyprzedziła normalnego rozwoju dziejów i nie rozbiła mu-

rów ghetta. Pozwolę sobie przecież wskazać, że wtedy, gdy się to stało możliwem wobec zmienionych pojęć, żydzi sami oparli się temu, wśród okoliczności, godnych zapamiętania. Rząd Królestwa Kongresowego zamierzał zburzyć ten mur średniowiecznego wyosobnienia, znosząc kahały. Ale żydzi polscy wiedzieli już wówczas, kędy droga do Petersburga. Pozyskany odpowiednimi argumentami Nowosilcow umiał „wstawić się“ do Aleksandra I. i udaremnić zamiar polskiego rządu. W r. 1820 żydzi polscy nie chcieli wyjść z ghetta. Wnukowie ich z przedziwną logiką czynią nas za to odpowiedzialnymi.

Gdy zajrzeliśmy w przeszłość, do której oskarżyciel nasz tak lekkomyślnie się odwołał, zrozumiemy teraz, dlaczego dziś „w Niemczech, Francyi, Anglii i w całym świecie“ nie spotyka się żydów przy tych typowo pasorzytniczych zajęciach, jakie u nas uprawiają: jest ich tam wogóle mało, a jest ich mało dlatego, ponieważ przed wiekami już wypowiedziano im gościnę w sposób, nigdy niepraktykowany w Polsce. Czy ci nieliczni żydzi wszędzie po za obrębem naszego kraju „godziwie pracują“, nie będę się o to spierał. Przypomina się wprawdzie karyera Rotszyldów, której trudno przypisać pogardę dróg krętych i podstępnych. Przypominają się pamięci sławne grynderstwa wiedeńskie z lat siedmdziesiątych. Nie wiem także, czy ta godziwa praca cieszy się na zachodzie istotnie tak powszechnem uznaniem. Pewne wątpliwości mogłaby wzbudzić w tym kierunku n. p. opinia wielkiego przemysłowca belgijskiego, Karola Van Laken, który powiada: „Oszukańczy interes jest to ten, który cierpi na gorączkę szybkiego i ogromnego zysku i który zasypuje świat towarem fałszywym: właśnie temu żydzi zawdzięczają nienawiść i pogardę wśród społeczeństwa“, rozumie się, nie polskiego. Ale nie chcę podejmować w tym punkcie sporu. Daleko żywiej natomiast zajmuje mnie twierdzenie, że „tam wszędzie“ dopuszczeni są żydzi do „wszelkich pól godziwej pracy“ i nie doznają żadnych ograniczeń, „tam wszędzie“, tylko nie w Polsce. Mamy tu bowiem do

czynienia z typowym i znamiennym rysem psychiki żydów polskich, którzy z wyniosłym giestem, zwróconym w naszą stronę, tak hałaśliwie lubią opowiadać, że na całym świecie jest doskonale, a tylko u nas źle, że wszędzie pławią się żydzi w równouprawnieniu, a tylko polskie zacofanie pragnie ich poniżyć i wyodrębnić ze społeczności ludzkiej. Zobaczymy, jak w świetle faktów przedstawia się ta legenda.

Przedtem jednak małe ustalenie dat. Z wywodów p. Dawida Malza wynikałoby, że cały świat pospieszył się ogromnie z równouprawnieniem żydów, jedna Polska uporczywie trzymała ich w stanie niewoli. Przypomnijmy, że żydzi otrzymali zrównanie prawne wszędzie w XIX wieku. Jestto wiek, w którym Polska nie posiada już państwowości własnej i sama wśród ciągłych upustów krwi dopomina się o podeptane swe prawa, wiek, w którym rzadko tylko i na drobnej części naszego dziedzictwa mieliśmy możność stanowienia o losie swoim i tych, których dzieje z nami złączyły. A jednak! Anglia obdarza żydów pełnemi prawami obywatelskiemi w r. 1858, Włochy w r. 1859, Węgry w r. 1867, Szwajcarya w r. 1874, Hiszpania w r. 1876. Autonomiczna Polska uczyniła to w r. 1862, w cztery lata po Wielkiej Brytanii, o dwanaście lat wcześniej, niż najliberalniejsza republika Europy. Nie okazaliśmy się zatem dla żydów gorszymi, niż „tam wszędzie".

Przekonajmy się, jak wygląda ów sławiony raj ich wśród narodów pełnoprawnych i panujących. Najbardziej wymownym będzie dla nas przykład Niemiec, gdyż tam właśnie żydzi są stosunkowo liczni, patryotyzm ich niemiecki jest tak gwałtowny, że nawet my to odczuwamy na swojej skórze, i tam wreszcie ich oczy zwracają się zewsząd, a przynajmniej od nas, z szczególnie namiętną miłością. Nie myślę bynajmniej utrzymywać, jakoby w Niemczech nie działo się żydom dobrze. Małego sprostowania wymaga tylko opowieść o „wszelkich polach godziwej pracy". Najbardziej kunsztowna dyalektyka nie zdoła pogodzić z tą opowieścią notorycznego faktu, że w całej niemieckiej administracyi nie ma ani jednego

żyda, że nie ma ani jednego w sądownictwie, że jedynie jawne wyparcie się żydostwa, chrzest, otwiera przed nimi owe „godziwe pola pracy“, że nakoniec nie ma w armii niemieckiej oficerów-żydów, że nawet oficerem zapasowym żyd zostać nie może. O rozkoszach moralnego stanowiska żydów w narodzie niemieckim, znanym z kastowości i towarzyskiego zacofania, możnaby mówić osobno i długo. Nawet najbardziej żarliwi wyznawcy ojczyzny niemieckiej pośród żydów (zresztą przeważnie w Polsce urodzeni) skarżą się z rozpaczą, jak dr. Kassel w „Jüdische Rundschau“, że uważani są za niemców niższej kategoryi. Wiemy, jak osobliwym afektem darzą żydów dobroduszni germanie austryaccy. Nie po raz pierwszy pouczyły nas o tem niedawne rozruchy na uniwersytecie wiedeńskim, skąd studentów żydowskich wyparto, jako intruzów. Podobne rozruchy powtórzyły się na niemieckim uniwersytecie w Czerniowcach, a w obu wypadkach zarzewiem niepokoju był fakt, iż młodzież niemiecka uważa swych żydowskich kolegów za nienadających się „zasadniczo“ do „honorowego traktowania“: żyd, to coś niezupełnie człowieczego w oczach germanina. Czy podobna odbywać wędrówkę po całej kuli ziemskiej, aby sprawdzić zbliska, jak szanowani i kochani są żydzi „tam wszędzie“? A dowiedzielibyśmy się z pewnością rzeczy ciekawych, nietylko w starej, zacofanej Europie, lecz i z odwrotnej strony naszego globu, w demokratycznej Ameryce. Wszak to sam organ syonistów lwowskich („Wschód“) doniósł świeżo, że zarządy wielkich hoteli w Nowym Jorku ogłosiły publicznie, iż podróżni żydowscy nie mają do nich wstępu. Oto „równouprawnienie“.

Niemniej żydzi nadwiślańscy sławią cały świat, chwalą narody, które ich niegdyś ogniem i mieczem tępiły, wybaczają im wszystko złe, jakiego od nich doznali dawniej, przymykają oczy na upokorzenia dzisiejsze, łaszą się przy bucie kirasyera pruskiego i wdzięczą się do nahajki moskiewskiej, a tylko kraj, który przygarnął ich w nieszczęściu, ziemię, która ich żywi w tak ogromnych masach, naród, wśród któ-

rego nie zaznali nigdy dzikich prześladowań, wyniośle darzą lekceważeniem, sąsiadującem o miedzę z nienawiścią i w nienawiść często przeradzającem się. Zapomnieli nam (jeśli pamiętali kiedykolwiek) wszystko dobre z tą samą łatwością, z jaką gdzieindziej złe puścili w niepamięć. Jakieś szczególne zadowolenie znajdują w wyzywającem poniżaniu wszystkiego, co nasze, w urągliwem przeciwstawianiu nas całemu światu. Powinniby odejść ztąd, skoro kraj nasz tak bardzo się im nie podoba — nie! siedzą na miejscu, ale nie uronią żadnej sposobności, by okazać, że „tam wszędzie" jest znacznie lepiej i że czynią nam niemal łaskę, spożywając nasz chleb. Stałoby się wobec nieprawdopodobnego wprost zjawiska, gdyby zagadki tej nie objaśniało owo znamię duszy żydowskiej, na które poprzednio już wskazywałem: kult siły brutalnej i naodwrót wzgarda dla tych, którzy tą siłą nie rozporządzają. Nieświadomie, nie zdając sobie z tego sprawy, nawet „prometejskie" typy wśród żydów ulegają tej niewolniczej psychice, o której mówi historyk Majer Bałaban. Zachowują się, jak typowi wyzwoleńcy wobec dawnego pana, który popadł w ruinę. Widok naszych spętanych rąk napełnia ich nieumiarkowaną pewnością siebie. Nietylko żądanie czegokolwiek z naszej strony wydaje im się dzikie — odmawiają nam prawa krytyki. Gdy człowiek z zachodu, prawnuk tych, co palili żydów na stosach, potępia żydów, to sprawa dyskusyi między dwiema niezgodnemi stronami. Gdy my wymawiamy im zło, które nam wyrządzają, to „cynizm!"

„Polska nie ma prawa wytykać wad swoim żydom!"

To prawo przyznają żydzi tylko silnym.

. . . .

Galicyjskie wybory sejmowe w lipcu 1913 r. przyniosły dokument, który, w związku z powyższemi słowami, oświetla w jaskrawy sposób to odmawianie nam przez żydów prawa krytyki, prawa najlżejszej obrony przeciw ich szkodnictwu. O mandat posła sejmowego ze Lwowa ubiegał się jeden z przywódców demokracyi narodowej, prof. St. Grabski. W Galicyi niema, jak wiadomo, zorganizowanego ruchu anti-

semickiego, żadne ze stronnictw politycznych nie ma dość swobodnych rąk, lub dość odwagi, aby do programu swego wcielić zadanie wyzwolenia się społeczeństwa polskiego z pod gniotącej przewagi żydów. Dalekiem od antisemityzmu jest również stronnictwo narodowej demokracyi, zajmuje jednak wobec żydów stanowisko chłodnej rezerwy, odważa się (przygodnie) poddawać krytyce ich rolę w naszem życiu, a śmiałość swą posuwa do tego stopnia, iż w organie swym nie przemilcza istnienia ruchu bojkotowego za kordonem. To wystarczyło, aby przeciw kandydaturze prof. Grabskiego runął solidarnie cały Lwów żydowski. Ale jak?

„Polscy“ żydzi w stolicy Galicyi wystąpili z niemiecką odezwą, która bryznęła takiemi okropnościami:

Wódz galicyjskich antisemitów, generał galicyjskich czarnosecińców, kaznodzieja bojkotu, Grabski, kandyduje do sejmu!

Jego zwycięstwo — to nasza śmierć!

Stoimy wobec grozy nowego Kiszyniewa!

Brońmy żon naszych!

Brońmy naszych dzieci!

Brońmy naszego plemienia przed zagładą!

Precz z antisemitą Grabskim, precz z „pogromczykiem“, precz z Puryszkiewiczem!

Zapewne, komizm tych okrzyków wobec rzeczywistości, która je wydała, nie pozostawia nic do życzenia. Lecz pohamujmy wesołość! Ten manifest, który zdobił mury polskiego Lwowa, uzupełnia wybornie tok szlachetnych myśli p. Dawida Malza: Polska nie ma prawa wytykać nic swoim żydom. Natomiast ma obowiązek wysłuchać z pokorą i cierpliwem poddaniem się, gdy zapalczywości żydowskiej podoba się lżyć jej najsłabszy odruch obronny, gdy przedstawiciel znacznego odłamu opinii polskiej za samą myśl wyjarzmienia swego narodu z niewoli wewnętrznej piętnowany jest, jako kandydat na mordercę niewinnych dzieci żydowskich (!!!), a ci, co tę myśl podzielają, policzkowani są, jako tłuszcza chuliganów kiszyniewskich...

W Polsce wszystko wolno...

. . . .

Istnieje przecież punkt, w którym po cierpkiej rozprawie mogę się zejść z przedstawicielem narodowców żydowskich w zupełnej zgodzie: tym punktem jest wspólne nam pragnienie obalenia kłamstwa, niepożądanego zarówno dla nas, jak dla istotnie wyzwoleńczych dążeń żydowskich, kłamstwa, że żydzi w Polsce, to polacy. Wytwór lichego oportunizmu, lub naiwnych złudzeń, hodowany długo i troskliwie, fałsz ten padł nakoniec w zaborze rosyjskim. Nie zdążył na szczęście nigdy zaznaczyć się praktycznie w Poznańskiem. Kurs pełny i niczem dotąd niezamącony zachował natomiast w Galicyi, i tu, od lat czterdziestu, od czasu, jak stanęliśmy u steru władzy, osiągnął swój największy rozkwit i przyprawił nas o straty, nad których odrobieniem pokolenia całe będą musiały pracować.

Urzędowa statystyka Galicyi nie zna żydów. Zna atoli milion bez mała polaków osobliwych, których mowy nie rozumiemy, których myśl jest nam obca. Jesteśmy świadkami maskarady, jakiej nie wymyśliłby najucieszniejszy karnawał wenecki. Na redutową scenę naszego życia politycznego wylęga w pewnych ściśle określonych terminach z zaułków miast i miasteczek galicyjskich krociowy tłum w chałatach i jarmułkach, aby udawać rdzennych lechitów. Nie przebiera się nawet w tym celu w szaty, odpowiednie do chwilowej roli. Krotochwila odgrywa się przy najbardziej uproszczonych środkach scenicznych, jak niegdyś w Szekspirowskim teatrze: żywa wyobraźnia zastępuje nawet pozory rzeczywistości i widzowie poddają się chętnie złudzeniu, że w miejscu, w którem zatknięto zwykły kij z odpowiednim napisem, roztacza się przed nimi przepyszny krajobraz, kwitną ogrody czarowne i wznoszą się dumne pałace. Taki krajobraz polityczny widzimy przed sobą w Galicyi, ile razy przeprowadza się urzędowy spis ludności, ile razy, przedewszystkiem, odbywają się wybory do któregokolwiek z naszych ciał przedstawicielskich. Jednym rzutem fantazyi wypełniamy najprzepastniejsze otchłanie, dzielące prawdę od złudy. Jakąż jest ta prawda? Ciemna, zarówno, jak półoświecona rzesza żydowska w Galicyi jest

doskonałą antytezą polskości. Mówi językiem, któremu nawet oszalały lingwista nie zechciałby przypisywać choćby dalekiego z nami pokrewieństwa, a jeśli wznosi się w rozwoju swym na wyższy szczebel, zamienia go często — mimo szkół polskich — na sympatyczny dla polskiego ucha język, którego dźwięk przypomina nam rozkosze wywłaszczenia i ustaw kagańcowych. Jeżeli świadomie, lub podświadomie, żywi jaki ideał, to wyraża się on w najbardziej egzotycznem z westchnień, jakie na ziemi naszej mogą być wydane, w westchnieniu platonicznem zresztą tylko, w dniu Paschy: Na przyszły rok w Jeruzalem! Ale dobra wola i bogata wyobraźnia polityków polskich w Galicyi stwarza cuda. Ta rzesza, pouczona przez mądrych rabinów, których pouczają przebiegli starostowie, pouczeni przez sfery, jeszcze subtelniejszym obdarzone dowcipem, przyznaje się gremialnie do narodowości polskiej (w formularzach urzędowych rubryka odnośna wypełniania jest wyrazem: „polnisch“) i każdy spis ludności wykazuje naród nasz bogatszym o milion bez mała dusz, na papierze. Rzesza ta, co ważniejsze, pod sprawnem dowództwem kahałów, z karnością najlepiej wyćwiczonej armii przynosi głosy swe przy wyborach kandydatom polskim, lub, znowu, takim, którzy się do polskości przyznają. Rozum stanu polityków galicyjskich oblicza teraz zyski. Spokój panuje w kraju! To zysk pierwszy. Na wielkiej scenie politycznej występujemy liczniejsi. To zysk drugi. Przybytek kilku mandatów — zysk trzeci.

Ale za urzędowe kłamstwo polskości mas żydowskich trzeba zapłacić.

Żydowskie głosy przy wyborach, to przedmiot politycznego handlu, przy którym jeśli moralność musi oblicze swe zasłonić wstydliwie, to interes narodowy polski może jedynie załamać ręce z rozpaczą. Nie jest moją rzeczą zastanawiać się nad tem, czy także żydzi, ze stanowiska wzniesionego po nad utylitaryzm chwili, nie ponoszą szkód przy tym plugawym targu, który nazywa się udziałem głosów żydowskich w galicyjskich wyborach. Przyjmując punkt widzenia, wyznawany przez przywódców mas żydowskich, stwier-

dzam, że mandaty do ciał parlamentarnych, które przynoszą nam jako prawdziwy dar Danaów, nie zubożają ich bynajmniej, tak samo, jak nic nie kosztuje ich nieobowiązująca zgoła i w gruncie rzeczy obojętna komedya podawania się oficyalnie za polaków. Podczas ostatnich wyborów sejmowych zebranie kupców żydowskich w Krakowie wyznało z całą szczerością, że polak, który podejmuje się „bronić interesów żydowskich", jest właściwie nawet lepszy od żyda. I interesów tych posłowie polscy, wybrani głosami żydowskimi, bronią tak zapalczywie, że n. p. Kraków doczekał się w tych czasach miłego widowiska, iż liberalny kandydat polski dla złożenia tłumom żydowskim uroczystego ślubu wierności pielgrzymował umyślnie na Kaźmierz, dworując sobie po drodze wesoło z prób „polszczenia Krakowa", a przybywszy na miejsce, tak przejął się rolą swą zastępcy świata żydowskiego, że przekroczył nawet galicyjski kordon i wezbranem sercem ogarnął także „nieszczęśliwych, biednych ludzi, zwanych litwakami". Będąc tak zastąpieni, żydzi przy galicyjskim handlu wyborczym nie płacą zatem, realnie biorąc, ani złamanego grosza. Natomiast wychodzą z pełnemi garściami zysków. Te zyski, to zarazem n a s z e s t r a t y i o nich z kolei pomówimy.

Za cenę przyznawania się żydów do polskości, za cenę głosów żydowskich, oddawanych przez kahały do dyspozycyi polskich kół politycznych, uznano w Galicyi żydów oficyalnie za żywioł domowy, własny, swój, żywioł, różniący się jedynie wiarą od reszty ludności. Logice tego historycznego szwindlu nic nie da się przyganić. Niepodobna uważać żydów za polaków w dniu wyborów, a za ludzi obcych nazajutrz: kłamstwo musi być ulegalizowane. To utożsamienie ich z nami, to uznanie ich za część składową naszego organizmu, pociąga jednak za sobą następstwa praktyczne i te następstwa uzmysławiają nam dopiero, jak znakomity zysk z pozornego przeszachrowania swej narodowości odnoszą żydzi, jak wielkie straty ten fałszywy interes przynosi społeczeństwu naszemu. O ile bowiem przyznawanie się mas ży-

dowskich do narodowości polskiej jest tylko formalne, jest lichą farsą, która w praktyce, po za stawieniem się do urny wyborczej, do niczego ich nie obowiązuje i pozwala im pozostać wobec nas nadal organizmem zamkniętym i obcym, o tyle po stronie polskiej uznanie ich za polaków nie może być utrzymane w granicach jedynie urzędowych, musi z konieczności wylewać się po za te granice i wrzynać się głęboko we wszelkie dziedziny naszego życia, przedewszystkiem gospodarczego, zapewniając żydom przez włączenie ich w nawias naszego narodowego interesu olbrzymie korzyści, których nie mogliby wśród nas osiągnąć, będąc uważani za żywioł obcy. Wymiana usług publicznych nie odbywała się chyba nigdy dotąd w warunkach nieprawdopodobniejszych, w warunkach, bardziej rujnujących jedną ze stron interesowanych. Co lat dziesięć, przy spisie ludności, przynoszą nam żydzi prolongatę swej kłamanej urzędowej polskości, zeznawanej w niemieckim języku, co lat kilka przynoszą swą kahalną puszkę Pandory, napełnioną głosami, które czynią nas bogatszymi o parę mandatów najbardziej wątpliwej wartości narodowej.

Co biorą od nas w zamian?

Wszystko!

Polityka sfer rządzących w Galicyi, stwarzając urzędowe kłamstwo, że żydzi są polakami, wykreśliła tem samem pewną linię myślenia, wprowadziła w życie pewien nastrój, który nie mógł pozostać bez wpływu wychowawczego na społeczeństwo. W atmosferze tego kłamstwa wychowane, z natury niekrytyczne i leniwe, kształcone przytem gorliwie przez prasę bądź żydowską, bądź uprawiającą na mniemanej polskości żydów interesy polityczne, społeczeństwo to patrzy na żydów oczyma niewspółczesnemi, widząc w nich naiwnie, jak ojcowie i dziadowie nasi, dziwaczną tylko jakąś odmianę narodu polskiego. I „odmianie“ tej, będącej w rzeczywistości narodem obcym, z całą bezmyślną dobrodusznością powierza ważne funkcye swego życia. Oddaje jej w monopol swój handel. Wypuszcza jej w coraz wyłączniejsze władanie źródła,

tryskające bogactwem i siłą. Wyszedłszy po za podwórko politycznych szacherek na wielkie obszary, gdzie ważą się i kształtują siły naszego narodu, przekonywamy się dopiero, jak niezmierne korzyści ciągną żydzi z uchodzenia za polaków, jak szeroką zyskują przez to swobodę rozwijania się naszym kosztem. Pod wygodnym płaszczem polskości wnikają tam, dokąd cudzoziemiec nie mógłby, lub nie powinienby mieć przystępu, i wychodzą z pełnemi dłońmi. Są dostawcami naszymi na codzień i grosistami, są naszymi bankierami i adwokatami, obsługują nas, jako technicy i rzemieślnicy. Nasze płody przechodzą przez ich ręce, nasze potrzeby są przez nich załatwiane. W naiwnem mniemaniu, że to „także polacy", nie czynimy żadnych różnic między nimi a sobą i żywimy w rezultacie drugi naród, uszczuplając chleb własnym rodakom, zubożając siebie, utrudniając rozwinięcie się wśród nas samych całych gałęzi pracy i zarobku. Płacimy drogo za fikcyę polityczną i za marne zyski, jakie z niej ciągnie polityczny oportunizm. Handel, którym żydzi zawładnęli, ziemia, którą zagarniają, domy, które setkami i tysiącami wykupują pieniądzmi, na nas zdobytemi, miasta, w których do nich, nie do nas, należy władza faktyczna — oto ów straszliwy rachunek, który bezwiednie pokrywamy. Płacimy wyczerpaniem naszych sił, płacimy umniejszającą się wciąż zdolnością do życia. Cały naród płaci ubytkiem swych najcenniejszych dóbr za głosy, kupione w żydowskich kahałach dla nasycenia egoizmów partyjnych, lub osobistych, w najlepszym razie dla podtrzymania fikcyi naszego znaczenia na zewnątrz.

Kramarska i krętemi drogami chodząca polityka kół rządzących w Galicyi w sprawie żydowskiej jest nadewszystko polityką typowego krótkowidztwa. Pod skrzydłami jej staje się żywioł żydowski coraz możniejszy i silniejszy, my wciąż ubożsi i słabsi i coraz głębiej zapadamy w zawisłość od niego. Cóż czeka nas na końcu tej drogi fatalnej? W pewnym momencie, gdy po tamtej stronie zgromadzi się dość siły i gdy dojrzeje bardziej proces wewnętrzny, który musi iść w kie-

runku, wskazanym przez tradycyę trzech tysięcy lat, nad komedyą polskości żydów zapadnie kurtyna, jak — o pokolenie, lub dwa za wcześnie — zapadła za galicyjskiemi słupami granicznemi, w Królestwie. Wtedy, mądrzy po szkodzie, ujrzymy rzeczywistość w jej nagiej i groźnej prawdzie, ujrzymy obok siebie miliony ludzi obcych, ujrzymy jawnych, doskonale uzbrojonych współzawodników o własność naszego kraju, których wzrostowi nie umieliśmy w czas zapobiedz. Nie chciej mnie Pan źle rozumieć w tem miejscu! Daleki jestem od tego, aby wszystkim żydom, którym mądrość naszej polityki nakłada maskę polskości, przypisywać świadome, podstępne korzystanie z tej maski dla urzeczywistnienia wskazanej tu możliwości. O taki demonizm wcale ich nie posądzam. Wierzę nawet chętnie, że w nielicznych wypadkach polskość ta jest nietylko zewnętrzna. Ale naturalny rozwój wypadków, skuteczniejszy od wszystkich chytrych planów, rozwój, którego sami jesteśmy sprawcami i któremu dopomagamy ze wszystkich sił, prze z nieuchronną koniecznością do tego finału. Nawet szczerze do polskości poczuwający się żydzi nie mogą zaręczyć za swych potomków, którym żyć przyjdzie w warunkach zmienionych, wśród zupełnego upadku naszego znaczenia i wśród rozkwitu żywiołu żydowskiego. Liczny, zasobny, górujący materyalnie, a tak żywotny i tak znakomicie wewnątrz spojony szczep żydowski będzie musiał z poczucia swej siły automatycznie wprost wysnuć konsekwencye.

Ten samobójczy nasz pęd musi być wstrzymany, a pierwszym i zasadniczym tego warunkiem jest zdemaskowanie oszustwa, jakoby żydzi byli polakami, jest uzmysłowienie sobie, że nie są oni jakąś kastą dziwaczną, za jaką uchodzą w naszych oczach, lecz n a r o d e m o d r ę b n y m. Wychodząc z odmiennych założeń, schodzę się tu z panem Dawidem Malzem, który piętnuje ostro hermafrodytyzm żydowsko-polski i który, jako żydowski patryota, pragnie dla swego ludu istotnego odrodzenia i przyszłości jaśniejszej, niż rola wiekuistego, niechętnie widzianego komornika na obcych ziemiach. Idea syonizmu jest z pewnością piękną i zawsze bu-

działa moje najżywsze sympatye. Nietylko wierzę zapewnieniu pana Malza, że pomiędzy nią a interesami Polski nie zachodzi żadna kolizya, ale wiem o tem dobrze bez specyalnych upewnień, i wiem, że nietylko niema sprzeczności, ale że istnieje tu zupełna równoległość rzeczywistego interesu obu narodów. Lecz ta „czysta myśl“ syońska, tak obfitą literaturą bogata, tyle imponujących kongresów za sobą mająca, w tyle świetnych umysłów żydowskich zapadła, trwa z górą już ćwierć wieku. I śmiem spytać współideowców pana Malza: Ilu to żydów wysiedliliście z Polski, ilu wogóle osadziliście w Palestynie, lub wreszcie gdziekolwiek, w ciągu lat dwudziestu pięciu? Zaiste, politowania będzie godna cyfra, jaką w odpowiedzi mógłbym otrzymać. Idea syonizmu trwa ciągle na papierze. Żydzi nie objawiają ochoty opuścić swej „ziemi wygnania“, ponieważ zbyt dobrze czują się w odwiecznej swej, choć tak upokarzającej roli jej pasorzyta. Z propagandy literackiej życie drwić sobie będzie zawsze. Nie pójdą, dopóki nie będą musieli, dopóki nie zniewolą ich do tego gorzkie warunki bytu, dopóki, spożywając chleb codzienny, nie poczują istotnie jego cierpkości wygnańczej. Nasz młody, a tak wspaniały już ruch obronny za kordonem wytwarza właśnie owe niezbędne warunki dla odwrotu żydów i czyni to stokroć skuteczniej, niż wszystkie narady wszystkich kongresów, jakie widziała Bazylea. Prawdziwy więc patryota żydowski staje w sprzeczności z samym sobą, gdy wrogo występuje przeciw bojkotowi. Jeśli jest logicznym i dość uczciwym, winien i w teoryi i w życiu zająć stanowisko wręcz przeciwne, winien uznać, że ten ruch — to jego naturalny sprzymierzeniec.

. . . .

Przystępuję do Pańskich końcowych wywodów, Panie Redaktorze. Pozwól Pan, że pomijając drobne i rozproszone szczegóły, jakie weszły w tok tej naszej rozmowy, zajmę się rozpatrzeniem tylko paru zasadniczych, lub bardziej charakterystycznych jej momentów. I tak:

1. Dla okazania, jak sama natura przedmiotu rozstrzyga ten spór na Pańską niekorzyść i jak wręcz niemożliwą rzeczą

jest podważyć logiczną i życiową racyonalność stanowiska, którego bronię, pragnę przygwoździć tu grubą sprzeczność, w jaką Pan popadłeś. Przyznajesz Pan, że „w kleszczach, między Rosyą i prusactwem, Polska nie może dłużej patrzeć na olbrzymie masy żydowskie“, mówisz: „Na jedno zgoda: żydów jest w Polsce za dużo, więcej, niż kraj chce i może dziś strawić“. Jeśli tak jest, jeśli za dużo, to trzeba pozbyć się chociaż nadmiaru. Bojkot (zostańmy już przy tem jednostronnem i niezbyt szczęśliwem wyrażeniu) zmierza do tego drogą najprostszą: zacieśniając dla żydów pole działania, zmusza ów nadmiar do odpływu. Zadna kazuistyka nie zmieni tej oczywistości. Pan jednak na tę jedyną drogę rzucasz kamienie swych argumentów, które bojkot zwalczają. Cóż stawiasz natomiast? Oto program „wychowywania“ żydów w Polsce. Pomijam bardzo rozległą kwestyę, czy posiadamy dość sił dla spełnienia tej olbrzymiej pracy edukacyjnej („kleszcze Rosyi i prusactwa“ niezupełnie jej sprzyjają) i przyjąwszy Pańskie założenie, wysnuwam z niego konkluzyę: Jeśli niewychowani żydzi tak mocno trzymają się naszego gruntu, to tem bardziej chyba zostaną, gdy ich „wychowamy“, tem mniej będą mieli powodu wtedy się z nami rozstawać. I cóż będzie z nadmiarem, którego kraj strawić nie może?

2. Nie wierząc w skuteczność bojkotu, obliczyłeś Pan, nie wiem na jakiej podstawie, że co najwyżej „ubędzie 50.000 jednostek“. Dlaczego właśnie tyle? Do obliczenia Pańskiego pozwalam sobie żywić głęboką nieufność. Poprzednio już wskazałem, że jednak ludzie krociami przenoszą się z miejsca na miejsce, a tu chyba nie zachodzą żadne wyjątkowe okoliczności, któreby to czyniły niemożliwem. Argumentu o paszportach (!) rosyjskich nie mogę przy najlepszej woli brać na seryo. Jeżeli nawet prawdą jest, że władze rosyjskie szykanują dziś wychodztwo żydów, to Drogi Panie, ruchy żywiołowe obalają nie takie przeszkody. Obawiasz się Pan dalej, że gdy na skutek bojkotu wyjdzie owych 50.000 jednostek, pokonawszy jakoś trudności paszportowe, wtedy pozostała reszta stanie się „społeczeństwem w społeczeństwie,

jeszcze ekskluzywniejszem“, „będzie żyć wyłącznie już ze sobą“, a nawet (czy nie zagalopowałeś się Pan trochę) będzie „sprzedawać tylko — swoim“. Co do mnie, tej ekskluzywności nietylko nie obawiam się, ale uważam ją dla nas za zbawienną: byłoby to tylko przyspieszenie procesu i tak nieuniknionego. Droga do rozwiązania kwestyi żydowskiej w Polsce prowadzi przez odrzucenie wszelkich złudzeń co do możliwości spojenia z nami w jakąkolwiek całość moralną tej olbrzymiej, obcej, na wieki uodpornionej masy. Na linii interesu naszego leżą w stosunku do tej masy wszelkie tendencye odśrodkowe, nie dośrodkowe. Co do dziejowego zaś finału tej gry, czerpię otuchę ze starego, mądrego przysłowia naszych ojców: „dłużej klasztora, niż przeora“.

3. Już w słowach powyższych mieści się odpowiedź na żal, jaki Pan ze swego błędnego stanowiska wyrażasz, że „Rosya, jak może, przeszkadza asymilacyi bodaj językowej żydów“, że „nie wolno w szkołach żydowskich uczyć po polsku“, że „żydów zamyka się w osobnych kuryach politycznych“ i że wszystko to jest „tragedyą dla Polski, ale także dla mas żydowskich“. Tylko uporczywa niechęć do rewizyi raz zajętego, a przez życie dostateczne już zrewidowanego stanowiska, może upatrywać jakąkolwiek dla nas tragedyę w faktach, które przecinają trwanie dalszej złudy asymilacyjnej. Cóż z tego, że nauczyliby się żydzi poprawnej polszczyzny? Spojrzyj Pan łaskawie na Galicyę, a otrzymasz wymowny komentarz do tego rzekomo cennego dla nas nabytku. Poprawna polszczyzna stała się dla żydów galicyjskich tylko bronią zdobywczą, jedną więcej, nie zmieniając w niczem stosunku ich do naszego narodu.

4. Wyjaśnienia domaga się także jedna z istotnie bolesnych spraw, związanych z ruchem obecnym, sprawa tragedyj osobistych tych spolszczonych całkowicie, a nieraz bardzo czcigodnych i zasłużonych obywateli pochodzenia żydowskiego, których namiętna wybujałość ruchu może nie oszczędzić, lub nawet już nie oszczędza. Na pouczenie Pańskie, że gdy się głosi hasło bojkotu żydów, trzeba pamiętać

o tem, iż natura ludzka jest skłonna do uogólnień, a na nikim nie można wypisać znaku ostrzegawczego, mógłbym odpowiedzieć Panu poprostu, że wojna pochłania ofiary, także na uboczu stojące i że zbyt dobrodusznem jest żądanie, aby wielki ruch stosował strategię swą do jednostek. Lecz dam Panu inną odpowiedź. Przed laty pięćdziesięciu jeden z największych i najlepszych obywateli, jakich wydała Polska porozbiorowa, ścigany był przez własnych rodaków — przez cały naród, niestety! — jako wróg ojczyzny. Wyjęto go z pod prawa. Wolno go była zabić na ulicy bezkarnie, bez odpowiadania za to przed kodeksem moralności narodowej. To była także tragedya, tylko nieco większa od tej, jaką przeżyć dziś może literat, lub uczony żydowskiego pochodzenia, którego ogólna reakcya przeciw żydom gotowa nie oszczędzić. Owym wielkim człowiekiem — domyśliłeś się Pan — był Aleksander Wielopolski. I on, Szanowny Panie, nie przestał być dlatego polakiem.

. . . .

Toczy się z kolei działo cięższego kalibru, z którego już p. Srokowski z nienajlepszem powodzeniem strzelał do okopów bojkotu. Sprawa kultury polskiej! Sprawa naszych ideałów „przyciągających“ i „wchłaniających“. Myśląc o przyszłości, jakby się ona ukształtować mogła, marzysz Pan głośno, że dźwignięta wielka kultura polska, że życie, wcielające wielkie ideały narodowe, „porwie i uczyni gorącymi obywatelami polskimi“ wszystkich żydów, „nawet tych, co zechcą zachować przytem tradycye rodzinne, religijno-plemienne“. I oto znowu zaprzeczasz sobie, ułatwiając mi aż do zbytku rozwianie tej iluzyi. Bo gdy na innem miejscu mówisz o „ojczyźnie, która ludowi żydowskiemu była matką, kiedy inne kraje były mu katami“, a która dziś, w swej walce groźnej i pięknej, „porywa ku sobie wszystkie serca, zdolne do uczuć szlachetniejszych“, to przecież sam stwierdzasz Pan, że nie trzeba dopiero czekać na przyciągającą i chłonącą siłę polskości, że ta siła *już istnieje*, ale serc żydowskich nie porywa. Tem samem osądza się dostatecznie zarówno płon-

nóść Pańskich nadziei, związanych ze wzniesieniem się lotu naszych ideałów na wyższy poziom, jak błahość zarzutu, skierowanego w stronę zbyt niskiego jakoby nastroju tych ideałów. Jesteśmy, jako naród, z pewnością bardzo ułomni. Posiadamy liczne wady, które zresztą nam wyłącznie dokuczają. Zycie anormalne wypaczyło nas w niejednem. Polacy mogą budzić różne uczucia. Ale Polska, to coś więcej, niż suma jej dzisiejszych mieszkańców, to pewna ciągłość, która mieści w sobie treść nienajuboższą, to pewna trwała idealna wartość, to wczoraj, dziś i jutro, przeniknięte pierwiastkiem stałym, a wcale nie objętym, to, w obecnej chwili, owa ormuzdo-arimanowa walka, jaką toczymy na kresach cywilizacyi różnymi środkami, ale w imię jednego celu, i wypowiedziałeś Pan tylko prawdę, stwierdzając, że walka ta może i powinna porywać ku sobie wszystkie serca szlachetne. Piękno naszego narodowego rapsodu umiały też odczuwać najświetniejsze i najgórniejsze duchy ludzkości i całe narody w chwili najwyższych swych wzniesień moralnych. Jednak żydzi nie odczuwają tych nieważkich pierwiastków naszego życia, które składają się na sprawę polską, nie skłania ich ku ojczyźnie naszej czar jej dumnej tragedyi, mimo, iż patrzą na nią zbliska.

Aby objaśnić ten fakt, mógłbym powołać się na scharakteryzowane już przedtem właściwości ich zwyrodniałej, ciasnej i w pewnych tylko kierunkach rozwiniętej psychiki, którą, obok innych, nietylko ujemnych rysów, cechuje kult zwycięskiej siły, podobnie, jak niewrażliwość na pewne rodzaje zjawisk, o ile nie mieszczą się one w obrębie ich własnego bytu. Nie byłoby to jednak objaśnienie wyczerpujące i byłoby niezawodnie przez jednostronność swą niesprawiedliwe. Są jeszcze inne przyczyny, które przesądzają z góry plany wcielenia żydów do organizmu polskiego zapomocą naszych niżej, lub wyżej szybujących ideałów. Oto dusza żydowska — o czem zdajesz się Pan niebacznie zapominać — nie jest p r ó ż n i ą, którą łatwo byłoby czemś wypełnić. Ma ona swą własną dawną treść, wcale obfitą, która sprawia, że na inną brakuje w niej poprostu miejsca. Chcąc tak, czy

inaczej, przetopić tę duszę obcą w tyglu polskiego życia zbiorowego, przeceniasz Pan wogóle możliwości, na jakie zdoła zdobyć się nasza (i czy tylko nasza?) kultura narodowa, najobszerniej pojęta, przypisujesz jej jakąś moc magiczną, co, wybacz Pan, trąci szowinizmem, a natomiast w sposób nader karygodny u politycznego pisarza nie doceniasz lekkomyślnie tych wartości moralnych, jakie kryje w sobie samo żydostwo. Optymizm Pański każe nam spełnić zadanie, wobec którego bezsilnymi okazały się: Egipt, Asyrya, Babilon, Persya, Rzym. Z naszemi ideałami narodowemi wyruszasz Pan na podbój narodu, który ma swój ideał własny i bynajmniej nie gorszy, ideał utrzymania i zabezpieczenia trzechtysiącletniego życia, ideał, który heroicznie wytrzymał próbę tego olbrzymio długiego czasu. Kreślisz Pan swe plany zdobywcze z taką brawurą, jakbyśmy mieli przed sobą jakieś niedokształcone plemię, które jeszcze nie zdążyło zaczerpnąć historycznego powietrza, lub też szczątki narodu, które zatraciły pomiędzy sobą wszelką spójnię. Tymczasem tkanki organizmu żydowskiego trzymają się wybornie, ich siła łączna może imponować i służyć za przykład. Zechciej się Pan tylko pilniej rozejrzeć dokoła. Dlaczegóż to wykwintni żydzi paryscy tak żywo, tak namiętnie interesują się losem chasydów, przypuśćmy w Husiatynie, tej „integralnej części narodu polskiego", jak to bajecznie określił pan poseł Srokowski podczas swej przedwyborczej wizyty na Kaźmierzu? Jedność wyznania? Ale gdzie kończy się tu wyznanie, a zaczyna się rasa, gdzie kończy się rasa, a zaczyna się narodowość — kto zdoła oznaczyć te granice? Lub dlaczego zpowodu bojkotu w Warszawie tak pienią się i burzą żydzi petersburscy? Co obchodzi ich właściwie ta nasza wewnętrzna sprawa, skoro, jak Pan zapewniałeś, są to tylko zwyczajni sobie moskale? Pytania te rozwiązuje tylko jedna odpowiedź: Rozproszony, czy też skupiony Izrael na „wygnaniu", jakimkolwiek mówi językiem, jakiekolwiek zabarwienie zewnętrzne dało mu prawo przyrodnicze przystosowywania się, to naród jeden, o potężnej sile wewnętrznej, spójny, odporny, nie-

przenikalny, nie do „strawienia“ nigdzie — cóż dopiero u nas, w kraju niewolnym?

Zadanie spojenia różnych mas etnicznych, bez względu na to, czy dokonane ma być drogą gwałtu, czy zapomocą „ideałów“, jest jedną z najcięższych i najtrudniejszych prac, jakie wogóle mogą być podjęte w wielkiem laboratoryum dziejów. Dla skuteczności takiej pracy potrzeba warunków niezwykle pomyślnych i zupełnie wyjątkowych. Tu — nie ma żadnych. Dlatego zostawmy w spokoju naszą kulturę i nasze ideały narodowe, gdy chcemy regulować stosunek nasz do świata żydowskiego. Nie zajedziemy z niemi dalej, niż na jeszcze jedną stacyę złudzeń, których tyle już mamy za sobą w naszych politycznych podróżach.

. . . .

Ale Panowie jesteście niewyczerpani w walce z tem przebudzeniem się trzeźwości i zdrowia, jakiego dożyliśmy nakoniec w postaci ruchu obronnego w Królestwie. Należałoby tom spisać, aby oświetlić wszystkie te kręte i ciemne dróżki, jakiemi zdążacie do głów i do sumień polskich, aby je na nowo pogrążyć w śnie, z którego dopiero zaczynają się otrząsać. Oczernianie bojkotu, jako jakiegoś ruchu, przeciwnego kulturze, jest, ku wstydowi naszemu, przywilejem nie samej tylko opinii litwackiej. Demokratyczny poseł krakowski zdecydował się spoliczkować swój naród, grzmiąc przed tłumami żydowskimi o „bydlęcych instynktach“, jakie objawiło Królestwo, piorunując na „hecę antiżydowską“, grożąc, że „nie pozwoli“ na „spodlenie Krakowa“ metodami warszawskiemi, gdyż „Galicya, to nie R o s y a“ (!), aby nazajutrz potem przeczytać w swym własnym organie list z Warszawy, może w roztargnieniu tylko zamieszczony, a stwierdzający, że bojkot ma wszelkie znamiona „pozytywnej akcyi w kierunku organizowania nowych placówek ekonomicznych z usunięciem żydów“, że „wogóle ten tak zw. bojkot przybiera coraz wyraźniej charakter pracy organicznej o zachowanie bytu narodowego“. Takiego „spodlenia“ nie życzą

sobie wyborcy polskiego posła z Kaźmierza, ogromnie czujni na czystość naszego honoru.

Zasób środków, które mają zdyskredytować ruch bojkotowy w oczach „zagrożonej“ Galicyi, nie ogranicza się jednak do samych wyzwisk. Prócz ostrych i gwałtownych, są środki, żeby tak powiedzieć, liryczne, nastrojone na ton podbijająco molowy, i tych również nie zaniedbałeś Pan użyć. Oto przemawiasz Pan do ambicyi polskiej, napomykając ze smętną ironią, że przeciw żydom iść, to nie sztuka, z nimi „walka łatwiejsza, listki wawrzynu bohaterskiego tańsze...“ Czy rzeczywiście walka ta jest tak łatwą, pozwalam sobie bardzo powątpiewać. Że jest łatwiejszą jednak, niż rozbicie grubych murów naszego więzienia narodowego, to pewna — i dlatego, uniesieni rycerskim wstydem, mielibyśmy jej nie podejmować? Ta doskonała rada jest cokolwiek w niezgodzie z podstawowemi zasadami wszelkiej taktyki zdobywczej, która każe brać najpierw pozycye dostępniejsze, aby tem pewniej potem wziąć mniej dostępne. Jeśli nie mylę się, to w swej szerszej politycznej działalności wyznajesz Pan te same zasady, wskazując, że należy wprzód rozbić Rosyę, jako „słabszą“, a nie Prusy, jako „zbyt silne“, chociaż tam „listki bohaterskiego wawrzynu“ byłyby zaszczytniejsze, bo droższe. Dalszy łagodny środek antibojkotowy, to skierowywanie uwagi polskiej w i n n ą s t r o n ę. Bandytyzm hula w sposób przerażający... Prostytucya. Porywanie dziewcząt. Walki sutenerów. Dzieci, omdlewające podczas nauki w szkołach... Lub też dla odmiany: „A może pomówilibyśmy trochę — o Chełmszczyźnie?“ A może o kolei wiedeńskiej? A może o tem, ile ziaren zboża daje kłos w Czechach, ile w Polsce? Jaki to u nas chów bydła? Produkcya nabiału? Ilość — drobiu?... Do czego zmierza ta cała litania? Do objaśnienia, że wobec tych wszystkich klęsk i braków „nędzni spekulanci“ (tu spokój Pana znowu opuszcza), „spekulanci“ w rodzaju Aleksandra Świętochowskiego, „hypnotyzują opinię jedyną (!) kwestyą“, kwestyą żydowską, i że w rezultacie nie wolno bojkotować żydów, skoro tyle plag nas nawiedziło. Logika Pańska

mniema, że społeczeństwo, które omija obcy handel, a wspomaga własny, nie może tem samem ani głodnych dzieci nakarmić, ani bandytyzmowi przeciwdziałać, ani o żadnych sprawach publicznych myśleć. Logika życia, jak opowiada nam przytoczony wyżej list z Warszawy, poświadczający, że bojkot spełnia przedewszystkiem twórczą, organizacyjną rolę, nietylko nie przeciwstawia tych rzeczy, lecz je jaknajściślej łączy. Wskazuje ona, że tem łatwiej dopomódz mdlejącym dzieciom, im więcej się po temu posiada środków, tem łatwiej wytępić bandytyzm, im więcej się stwarza źródeł uczciwego zarobku, tem łatwiej pracować dla szczytów narodowego życia, im podstawy są silniejsze. I dziwnym jakimś trafem nie mówi ta logika nic o tem, że wyzwalając się z niewoli żydowskiego pośrednika, nie można przytem doskonale hodować — drobiu...

Do tych druzgoczących racyj — aby inwentarz arsenału przeciwbojkotowego był już całkowity, — niech będzie mi wolno dołączyć jeszcze argument, który padł po za łamami „Krytyki“, niezrównany argument p. Srokowskiego, który, jako parlamentarny przedstawiciel interesów polskiego mieszczaństwa, w swej deklaracyi „liberalnej“ oświadczył, że rozwój tego mieszczaństwa bez żydów, to „sztuczna hodowla“, że nasi kupcy i rękodzielnicy „nie powinni żyć bez konkurencyi ekonomicznej“. Sprawa jest zupełnie jasna. Gdzie żydów na świecie nie ma — tam ustaje już wszelka wolna gra sił. Ludzie jednego narodu, jak powszechnie wiadomo, współzawodniczyć między sobą w życiu gospodarczem nie mogą. Poprostu: nie mają serca, aby sobie wzajem odbierać klijentów. To też, prócz nas, którzy posiadamy żydów, cały zachód Europy ugrząźł w beznadziejnym zastoju. O nieszczęsna Francyo, której kupcy i rękodzielnicy wtrąceni zostali w otchłań „sztucznej hodowli“, o smętna kraino włoska, o opłakane ziemie od Gibraltaru aż po fiordy Norwegii, w których nie masz błogosławionych drożdży semickich, i w których wobec całkowitego braku wszelkiej konkurencyi pękły transmisye ekonomicznych obrotów! Spojrzyjcie tylko na szczęśliwą i wesołą Polskę, „naturalnej“ pozostawioną

hodowli. Kwitnie ona, niby róża Jerychonu, z trzema milionami swoich żydowskich konkurentów!...

. . . .

Zdaje mi się, że w tej miłej gawędzie z polakami, tamującymi wzrost polskości, wyczerpałem sumiennie wszystkie punkty, jakie rzuciła na stół strona przeciwna. Nieuprzedzony słuchacz, w którego głowie nie zagnieździła się tępa doktryna, paraliżująca zdrowy instynkt życia, zechce osądzić, jak słuszną, jak głęboko w podstawach naszego bytu narodowego osadzoną jest sprawa, przeciw której wyborowi harcerze z tamtej strony mogli wyprowadzić w pole jedynie logiczne błędy i fałszywy liryzm „humanitaryzmu". Na zakończenie rozmowy tej, bezładnej, jak cała, w chaosie jeszcze będąca sprawa, która ją wywołałą, pozwalam sobie na krótkie odtworzenie głównej linii, po której biegły nasze rozumowania. Zostawiając podlotkom „zasadniczy" sposób traktowania zjawisk politycznych, stosując do kwestyi żydowskiej metodę trzeźwego rachunku zysków i strat, oceniając ją jedynie i wyłącznie pod kątem widzenia interesów naszego narodu, otrzymamy konkluzye następujące:

Organizm Polski nie może znieść bez bardzo groźnego dla siebie niebezpieczeństwa dalszego współżycia z trzema milionami żydów, które to współżycie w tym stosunku ilościowym jest anomalią, nigdzie niespotykaną. Pierwszym warunkiem do położenia końca tej anomalii jest dokładne zdanie sobie sprawy ze stosunku, jaki pomiędzy nami i żydami zachodzi. Żydzi nie są „polakami", nie są żadną „odmianą" naszego narodowego gatunku, ani żadną „integralną" naszego organizmu częścią, jak głosi świadome i nieświadome kłamstwo, obalone już w dużym stopniu w Królestwie, a z powodzeniem kursujące jeszcze dotąd w Galicyi. Są oni w stosunku do nas ciałem obcem — są narodem odrębnym, o własnej, mocno zarysowanej, w ogniu trzydziestowiekowej historyi zahartowanej duszy. Są dla nas szkodliwi narodowo, nietylko dlatego, że uszczuplają teren naszej osiadłości, ale także dlatego, ponieważ żyjąc na naszem ciele pasorzytniczo

i odznaczając się, jako konkurenci nasi w różnych dziedzinach życia małym zasobem skrupułów moralnych, tworzą zaporę dla naszych dążeń rozwojowych. Są niebezpieczni politycznie, gdyż łączą się chętnie z naszymi wrogami, wychodząc z zasady, że korzystniej jest trzymać z silniejszym, a w ostatnich czasach namiętniejsi i gadatliwsi ich przedstawiciele objawiają, mianowicie w Królestwie, aspiracye do podzielenia się naszem terytoryum, przy zachowaniu wszystkich cech i praw narodu odrębnego. Urzeczywistnienie tych dążeń, zamienienie Polski w kraj dwunarodowy na całym jej obszarze, względnie milcząca nasza zgoda na takie przeistoczenie jej charakteru, oznaczałaby koniec naszego bytu, jako narodu historycznego o niezamkniętej jeszcze przyszłości. Jednakże rozwój wypadków idzie właśnie w tym kierunku. Potęga żywiołu żydowskiego rośnie u nas bez przerwy, a w Galicyi sprzyja temu znakomicie maska jego urzędowej polskości. Strawić nie zdołamy żydów żadną miarą. Rasa żydowska okazała się wszędzie trudno rozpuszczalną, jej olbrzymie skupienie w Polsce i siła moralna jej dążeń własnych podnoszą tę trudność do maximum. Program asymilacyi okazał się nieziszczalny i dalsze trwanie przy nim miałoby jedynie ten skutek, że zostawiłoby swobodne pole rozwojowi siły żydowskiej, nam samym zaś zgotowałoby ostatecznie los Macedonii północy. „Wychowywać“ żydów nie możemy również: to tytaniczne zadanie przechodzi nasze zdolności, nie mówiąc o tem, że tak bardzo jeszcze musimy pracować nad własnem wychowaniem. Musimy się ich zatem stopniowo — pozbywać.

To negatywna strona sprawy.

A oto odwrotna jej, pozytywna strona, ściśle się z nią łącząca. Nasze życie narodowe chroma od wieków już z powodu braku silnego, zamożnego, patryotycznie usposobionego mieszczaństwa, które wszędzie na świecie tak wielką odgrywa rolę. Jednym z ważnych postulatów, warunkujących naszą przyszłość, jest stworzenie polskiego stanu trzeciego, ujęcie we własne ręce handlu, uczynienie z miast naszych istotnych centrów polskiego życia. Obok licznych dróg, wiodących do

tego celu, domaga się tu wcielenia nadewszystko zasada zaspakajania wszelkich potrzeb, o ile to tylko w danych warunkach możliwe, u własnych kupców, rzemieślników, przemysłowców, to znaczy polskich, a nie żydowskich, i równolegle z tem tworzenie dalszych własnych placówek, któreby mogły te potrzeby zaspakajać. Następstwem systematycznego, konsekwentnego i ciągłego stosowania tych zasad musi być, choćby powolny, lecz również ciągły i stały odpływ żydów z naszego kraju, gdzie na ogół utrzymują się oni jako pośrednicy, nas obsługujący i z nas żyjący. Skutek zawisł tu tylko od nas samych, od naszej solidarności, od naszego zrozumienia własnego interesu, i jestto jedyna wielka sprawa, w której przeprowadzeniu nikt z zewnątrz nie może nam przeszkodzić. Bojkot, trwający od roku w Królestwie i uwieńczony powstaniem tylu już placówek polskiego handlu, to pierwszy krok w kierunku urzeczywistnienia powyższego programu, pierwszy krok na długiej drodze, którą cierpliwie i z uporem, nie zrażając się żadnemi trudnościami, musimy przebywać. Ten jedynie skuteczny program rozwiązania kwestyi żydowskiej musi jaknajrychlej zająć także w Galicyi miejsce dotychczasowych złudzeń i kłamstw asymilacyjnych, po za któremi kryje się bądź krótkowidzący oportunizm polityczny, bądź lenistwo nasze do śmiałego podjęcia wielkiej i trudnej sprawy.

Czy stawiamy dlatego nieprzebytą przegrodę między każdym polakiem i każdym żydem? Nie. Nasze ludzkie stosunki mogą być zachowane, tam, gdzie nic nie stoi temu zresztą na zawadzie. Powinniśmy tylko odgrodzić się ekonomicznie. Żydzi, którzy spolszczyli się i chcą z nami pozostać, którzy, mimo zwrotu, jaki się dokonywa w sprawie żydowskiej, solidaryzują się z naszym narodem, a tacy nieliczni istnieją, mogą żądać słusznie równych z nami praw narodowego obywatelstwa. Przed tymi niech wrót naszego domu nie zamyka żadna doktryna, niechaj w uścisku naszej dłoni odczują niezamącone niczem uczucie bratniej miłości. Dla pozyskiwania ich przecież nie możemy ponosić ofiar nad

nasze siły. Trzebaby zatracić w sobie wszelki zmysł rzeczywistości, aby dla celu podrzędnego, dla przymnożenia jednostek, choćby najlepszych, prowadzić politykę olbrzymich strat, wyrzekać się tych niezmiernych korzyści, jakie zapewnia nam ściśle przeprowadzona idea wewnętrznej solidarności gospodarczej: taką cenę zapłacić mogliby chyba szaleńcy. Naszym potrzebom narodowym odpowiada polityka, która dążyć będzie nie ku zaciśnięciu, lecz ku rozwiązaniu stosunków ze światem żydowskim. Woła o to wszystko! Woła niesłychana anomalia, że nasz ubogi kraj miliony rąk polskich eksportuje za morze, a milionom obcych dostarcza u siebie chleba, woła topniejące wciąż nasze mienie, którem żydów bogacimy i przeciw sobie uzbrajamy, woła groźba, iż potomkowie nasi stoczą się na dno nędzy politycznej, stając się współmieszkańcami tylko własnej niegdyś ziemi.

Sto lat minie niedługo, jak wielki i mądry Staszyc rzucał w polską pustkę słowa przestrogi: „Zydzi — to zaraza, ciągle polityczne ciało nasze słabiąca i nędzniąca. Chociażby nawet to ciało nie było podzielone, chociażby po podziale znowu zjednoczone zostało, przecież z tą wewnętrzną skazą nigdy nie może nabrać właściwych sobie sił, ani czerstwości: musi zawsze być tylko słabe, wynędzniałe, nikczemne...“ Dziś słowa te, na szczęście, nie brzmią już w zupełnej głuszy. Synowie marnotrawnych i lekkomyślnych ojców, zaczynamy rozumieć prawdę głęboką tych słów i wtórować im — czynem.

Wydawnictwa p. t.:

SEJMOWA REFORMA WYBORCZA:

I. „Jak zabezpieczyć nasze mniejszości narodowe w okręgach wiejskich?“ napisał dr. Stanisław Kasznica (wyczerpane).

II. „Ugoda polsko-ruska a sprawa reformy wyborczej“ napisał dr. Edward Dubanowicz.

III. „Problem sejmowej reformy wyborczej w świetle statystyki ludnościowej i podatkowej“ napisał dr. Franciszek Stefczyk.

IV. „Kataster narodowościowy i jego następstwa prawne i polityczne“ napisał dr. Edward Dubanowicz.

V. „Kurya wielkiej własności“ napisał dr. Edward Dubanowicz.

VI. „Proporcyonalność w zastosowaniu do sejmowej reformy wyborczej“ napisał dr. Edward Dubanowicz.

Do nabycia w Biurze Organizacyi Jedności Narodowej — Lwów, ul. Asnyka L. 1.

Wydawnictwa pod: IV., V. i VI. stanowią pierwsze numery (1, 2, 3) *Wydawnictw politycznych Organizacyi Jedności Narodowej.*